r. 27 — Poznań, dnia 5-go lipca 1903. — Rok VII



Szesnaście mandatow
347,544 głosów polskich.

Z zadowoleniem płynącem ze spełnionego obowiązku i radością możemy spojrzeć na ubiegłe wybory parlamentarne.

Zaraz w pierwszem spotkaniu z nieprzyjacielem przeprowadziliśmy zwycięsko czternastu posłów, z których składało się dotychczas Koło polskie. Mimo że w ciągu lat pięciu Niemcy z pomocą całej machiny państwowej starali się nowe poczynić szczerby w murze polszczyzny i zadali nam nie jeden cios, nie uroniliśmy nic z posad naszych, przeciwnie we wszystkich niemal okręgach ujawnił się znaczny przyrost głosów polskich tak, że aż w ośmiu okręgach kandydaci nasi stanęli do ściślejszych wyborów. W porównaniu z wyborami w r. 1898 padło teraz blizko *100 tys.* więcej głosów polskich, i tak *347,544* Polaków obywateli zamanifestowało swą narodowość, dało Niemcom odpowiedź na Wrześnię i niecne prawa antypolskie.

Znakomity ten wynik zawdzięczamy poniekąd zapewnieniu tajności [illegible]rów za pomocą kopert. Chłop zatrudniony u Niemca nie potrzebował lękać [illegible] szykan z jego strony, bo w danej [illegible]wili wydobywał polską kartkę z za[illegible]rza i kryjąc ją w kopertę, wiedział, [illegible]o nikt nie oskarży. Ale przede[illegible]ystkiem zawdzięczamy tę tak poka[illegible] cyfrę głosów polskich — hakatystom, którzy nie przestają wysilać się na pogłębienie przepaści dzielącej obie narodowości w tych dzielnicach, oraz coraz większemu uświadomieniu mas narodu. Pod tym względem wybory były szczególnie świetną i radosną manifestacyą. Nawet w okolicach, gdzie nie można się było spodziewać, padło setki głosów polskich tak, iż wątpić nie można, że poczucie narodowe przenika szybko coraz szersze koła ludu polskiego. A należy tu podkreślić tę okoliczność, że nawet w stronach gdzie brak inteligencyi daje się uczuć, lud sam spełnił swój obowiązek. Da się to zauważyć głównie w W. Ks. Poznańskiem. W okręgu poznańskim zyskał nasz poseł około 1900 głosów więcej dzięki żywej agitacyi na przedmieściach, w powiecie i czujności mężów zaufania. W Szamotulskiem kandydat nasz zdobył 3600 czysto polskich głosów przez rozgałęzioną i energiczną agitacyą, a zwycięstwo to było tem świetniej[illegible] da-wniejszy poseł: hr. H. K[illegible]tów wydać ten mandat w rę[illegible]ców, którzy nas nietylko całkiem opuścili ale zwalczali porówno z hakatą. Okazało się przez to, co można zdziałać przez agitacyą i jak *powinniśmy* wszędzie przygotowywać się do wyborów. Walka stronnicza w Kościańskiem i Pleszewskiem wpłynęła zbawiennie na rozbudzenie interesu i samowiedzy tak, iż posłowie nasi otrzymali tam jeden 2300, drugi 2800 głosów więcej aniżeli przed 5 laty. Posłowie średzki, ostrowski i inowrocławski mogą pochwalić się 2—3 tysiącznym przyrostem głosów a inne powiaty nie pozostały wiele w tyle. Z powszechną radością zapisywały gazety zwycięstwo posła Czarlińskiego w wyrzysko-szubińskim okręgu, który Niemcy z pomocą geografii wyborczej starali się zdobyć koniecznie.

Podczas gdy w W. Ks. Poznańskiem liczba głosujących Polaków wzrosła o 25 tys. w Prusach Zachodnich zwyżka jest nieznaczną, co tłomaczymy sobie mniejszem rozbudzeniem świadomości narodowej, ospałością obywatelstwa i brakiem ludzi chętnych, którzy z poświęceniem agitowaliby na ręce kandydatów naszych. Że pod tym względem Prusy Zachodnie i Warmia dały się ogromnie wyprzedzić przez Ks. Poznańskie, nie ulega wątpliwości.

Dlatego też, lubo aż w czterech okręgach pruskich, kandydaci nasi zmierzyli się w ściślejszych wyborach — jeden tylko p. Brejski wyszedł zwycięsko z urny wyborczej, z 29 głosami większości, wykreślając z listy posłów niemieckich znanego hakatystę Grassmanna. Wina za względnie niekorzystny wynik wyborów ściślejszych w Prusach Zachodnich nie spada wyłącznie na naszych rodaków, lecz także na centrowców, którzy zatraciwszy swój charakt[illegible] katolicki w całych Niemczech stali po stronie rządu. Ubytek głosów centrowych dał się we znaki p. Kulerskiemu w Grudziądzu i przyczynił się do jego przegranej. W Księstwie odszczepieństwo centrowców uwydatniło się szcze-

gólnie jaskrawo w okręgu wschowskim, gdzie niemiecki ksiądz katolicki nietylko stawił swą kandydaturę przeciwko polskiemu księdzu katolickiemu i to wbrew kompromisowi, na mocy którego winien był go poprzeć, lecz w ostatecznej potyczce głosował z swymi „mniejwartościowymi“ katolikami na ewangielika. Wyciągając z tego faktu naukę na przyszłość, nie ubolewamy nad nim, gdyż mamy to zadowolenie, że wszystkie te piętnaście mandatów zdobyliśmy *całkiem o własnej sile*. A przeświadczenie, że li tylko na sobie możemy polegać, powinno coraz głębiej przenikać w ogół polski i wpływać na ugruntowanie samodzielności.

Zresztą rzuconą nam przez centrum rękawicę podjęliśmy śmiało i odpłacili mu pięknem za nadobne na westfalskim terenie walki wyborczej. Wychodźcy nasi z znanych przyczyn stawili w tych stronach narodowego kandydata i oddali na niego z górą *20 tys.* głosów, przez co centrowi posłowie w trzech okręgach westfalskich zaraz w walnych wyborach utracili swe mandaty. Czy niemieccy katolicy wezmą sobie tę lekcyą do serca i zmienią swe postępowanie wobec naszego ludu na obczyźnie? Zrobiliśmy także doświadczenia z Niemcami-katolikami, że uważamy to za wykluczone. Centrum bowiem przybiera coraz wyraźniejsze cechy stronnictwa rządowego a niemieccy katolicy różnią się tylko pozornie od hakatystów najczystszej wody. Nawet ustępstwa z ich strony przyjęlibyśmy dzisiaj z niedowierzaniem, bo w myśl „timeo Danaos et dona ferentes“ możemy powiedzieć, że lękamy się tych fałszywych przyjaciół nawet wówczas, gdy przynoszą nam dary. Zdobyli się oni wskutek rozbratu naszych wychodźców z nimi tylko na założenie polskiego pisma w Dortmundzie, które pisząc w duchu centrowym ma wbić klin w obóz polski i robotników naszych zamieniać w powolne sługi niemieckich katolików.

Szesnasty mandat zdobyliśmy na G. Śląsku.

Na starą ziemię Piastów były zwrócone oczy całej Polski w tej chwili przełamowej, gdy po kilkowiekowym letargu — duch polski jak feniks z popiołów powstał i stawił czoło niemczyźnie. Wielu z nas żywiło daleko idące nadzieje, a wynik wyborów nie odpowiedział im i przyniósł pewne rozczarowanie. „Praca“ nie należała do nich; niejednokrotnie daliśmy wyraz obawom, że rozbrat pomiędzy „Katolikiem“ a „Górnoślązakiem,“ błędy popełniane przez młody ruch narodowy, swary w obozie tym nie pozwolą odrazu skruszyć potęgi centrum, które uważa G. Ślązk za swą pańszczyznę i przeciwdziała ruchowi narodowościowemu. Dlatego wynik wyborów w naszych oczach jest *zadowalającym* i uprawniającym do nadziei na przyszłość.

Na G. Śląsku padło *43 tys.* głosów nie Górnoślązaków lub centrowców polskiego języka, lecz czysto polskich, tak iż mamy tę pewność, że mniej więcej *trzecia część* wszystkich wyborców polskich tamże jest *narodowo uświadomioną*, co zadaje stanowczo kłam rozumowaniu „Katolika,“ który upierał się przy twierdzeniu, że zawcześnie zatknąć na Śląsku sztandar narodowy. Jeżeli zważymy, że w wielu okręgach jak raciborskim i kozielsko-strzeleckim agitacya na rzecz kandydatów narodowych p. dr. Rostka i p. Reskiego nie była wcale ożywioną, że pierwszy bój pod chorągwią polską stoczono tam wśród niezmiernie trudnych warunków i nieprzyjaznych okoliczności — zdobycz mandatu katowickiego, a mianowicie te 43 tys. polskich głosów powitamy z radością jako związek nowej ery w dziejach G. Ślązka.

Gdyby nie walka w obozie polskim rezultat wyborów byłby stokroć korzystniejszym; z pomocą „Katolika,“ idąc ławą przeciwko germanizatorom katolickim, byliby Polacy w wstępnym boju zdobyli mandaty nietylko w Katowicach, ale w Pszczynie, gdzie p. Kowalczyk przepadł w ściślejszych wyborach, w Gliwicach i w Bytomiu. Aczkolwiek nie ślepi na błędy popełnione przez narodowców, główną winę za ten obrót rzeczy przypisać musimy „Katolikowi,“ który uporczywie trzymał się fałdy centrowców, mimo że go lekceważono i Niemcy katolicy w Bytomiu nie poszanowali nawet woli stronnictwa i stawili własnego kandydata Niemca. Chcąc doprowadzić do zgody pomiędzy zwaśnionymi kilku wielkopolskich polityków udało się na Ślązk. Ze strony narodowców uzyskali jaknajdalej idące ustępstwa na rzecz „Katolika“ i tak pp. Korfanty i Kowalczyk chcieli się zrzec kandydatur i wysunąć na to miejsce pp. Napieralskiego i Dąmbka z „Katolika,“ lecz p. Napieralski za żadną cenę nie chciał przystąpić do Tow. wyborczego i zeszeregować się z narodowcami.

Nawet przy ściślejszych wyborach „Katolik“ występował przeciwko kandydatom narodowym. Wobec tego nic nie może tłomaczyć postępowania pana Napieralskiego, którego wprost antypolską polityką napiętnowano należycie na wiecu ślązkim w Poznaniu i w prasie ludowej. Nie możemy się opędzić mniemaniu że względy materyalne grały tu u „Katolika“ wielką rolę. „Katolik“ dopóty może liczyć na poparcie księży germa[...] na G. Ślązku, dopóki wysług[...] stronnictwu centrum; przystąpienie zaś do Tow. wyborczego byłby opłacił stratą kilku tysięcy abonentów, bo że tamtejsi księża zaleciliby bojkot „Katolika“ nie ulega wątpliwości.

Jest to polityka materyalistyczna na krótką metę!

Duchowni ślązcy stempla germanizatorskiego z największą bezwzględnością zwalczali kandydatów narodowych tak, iż w okręgach raciborskim i gliwickim założono protest z powodu nadużyć. Wdzięczną bronią w ich ręku było słynne orędzie księdza kardynała Koppa, już z tego względu, że zachęcało duchownych do uprawiania polityki stronniczej w kościele.

W tych warunkach udało się przeprowadzić pana Korfantego jedynie z pomocą socyalistów, którzy po krwawych, ubolewania godnych zajściach w Laurahucie tem mocniej go poparli. Z winy „Katolika“ nawet tego jednego mandatu polskiego na Śląsku nie zdobyliśmy o własnej sile, wszelako kompromis z socyalistami był całkiem naturalnym. Każdy bowiem ludowy kandydat polski mógł dać socyalistom te gwarancye, jakie dał im p. Korfanty. Zresztą w takich razach żadne stronnictwo nie odpycha od siebie pomocy z jakiejbądź pochodzi ona strony. Nie solidaryzujemy się przeto z temi gazetami, które wytykają narodowcom górnoślązkim sojusz z socyalistami! Wprawdzie miło-by nam było gdybyśmy to krzesło poselskie także tylko sobie zawdzięczali, ale bądź co bądź radować się należy, że mamy tam chociaż jednego posła, dlatego, że mandat ten jest *namacalnym sukcesem*, który zwłaszcza przy pierwszym eksperymencie w tym kierunku, cenić sobie musimy.

Na mocy tego budujemy nadzieję, że zupełne odrodzenie G. Ślązka jest tylko kwestyą czasu, a utwierdza nas w tem ta okoliczność, że p. Kowalczykowi nie dostało do zwycięztwa w Pszczynie tylko kilka set głosów, a p. Siemianowski, lubo dopiero trzy miesiące przed wyborami założył w Gliwicach organ polski, otrzymał ośm tysięcy głosów.

Polityka „Katolika“ poniosła *stanowczą moralną klęskę*, a przez wybór p. Królika w Bytomiu nie uzyskała wcale znamiennej korzyści. Przez swą antypolską akcyę „Katolik“ zaprzepaścił swe dawne zasługi. Okazało się bowiem, że nigdy nie chodziło mu o sprawę narodową.

Obejmując okiem całokształt wyb[...]rów uderza, że żywioły ludowe, na k[...]rych opiera się przyszłość polskości

pruskim zaborem, odegrały w nich tak bitną rolę, że zmieniły charakter wnętrzny Koła polskiego i przeważyszalę na swą stronę. W tej materyi przyjdzie nam nieraz zabierać głos; na razie pragniemy tylko zaznaczyć, że w wyborach nietylko zyskaliśmy dwa mandaty i 100 tys. głosów polskich, że nietylko przeprowadziliśmy akcyę wyborczą samodzielnie, nie oglądując się na pomoc znikąd, lecz że byliśmy świadkami znacznego kroku naprzód w kierunku emancypacyi warstwy ludowej.

Stojąc w obliczu tych faktów rząd pruski musi zrozumieć, że ucisk wywołuje silną reakcyę, że pociski jego ustaw antypolskich odbijają się jak groch o ścianę, i że coraz większe zastępy uświadomionych Polaków i *lud polski* staje do walki o swe przyrodzone prawa i ideały narodowe. Pojęła to „Pos. Ztg.“ i, wycofując się z szeregów hakaty przemawia za zaprowadzeniem u nas stosunków alzackich. Natomiast inne pisma płodzą niestrudzenie nowe projekty ustaw mających położyć kres istnieniu Polaków a wzmocnić i uszczęśliwić niemczyznę, o której słusznie zauważa „Pos. Ztg.“ z rzadką szczerością, iż „może snadnie utonąć we własnem błocie.“ Dość, że Niemcy wszystkich barw politycznych musieli zrozumieć, że te 348 tys. polskich głosów jest dosadnim protestem przeciwko systemowi pruskiemu, jest *policzkiem wymierzonym polityce gwałtu.*

Z palmą zwycięstwa wstępujemy w nowy okres ustawodawczy z silniejszem gronem posłów, silniejsi liczebnie i silniejsi na duchu.

Quis.

Skutki oredzia

księdza kardynała Koppa.

Bitterfeld **(Saksonia) dnia 20 Czerwca 1903.**

Szanowna Redakcyo!

„Trzeba kuć żelazo póki gorące,“ tak z pewnością pomyślał ks. wikary *Gerwin* w Bitterfeldzie wobec wrocławskiego listu Pasterskiego; to też nie miał nic pilniejszego jak przeczytać go z ambony dnia 14-go czerwca i zastósować do Polaków w Bitterfeldzie, a właściwie przeciwko Tow. Polsko-katolickim.

Najpierw należało zważyć, iż tam gdzie ów list jest wydany, toczyła się zawzięta walka wyborcza, a my w Bitterfeldzie nie prowadzimy żadnej polityki prócz tej, że nie chcemy się dobrowolnie poddać germanizacyi i nie pozwalamy sobie rozbić naszych polsko-katolickich Tow. takim księżom katolickim jak nasi w Bitterfeldzie. **A więc nie dla nas wrocławski list pasterski!**

Ów list był tak dobitnie i z takim naciskiem i przestankami przeczytany, jak by miał zgromić i nawrócić ze złej drogi największych heretyków i największych bezbożników. Tymczasem członkowie naszych Tow. polsko-katolickich *to nie żadni heretycy* lub bezbożnicy lecz świadomi i pobożni ludzie. To po prostu Polacy-katolicy, którzy się trzymają wiernie wiary i kościoła katolickiego, tylko mają tę jednę wadę, iż — *chcą pozostać Polakami,* a to się panom germanizatorom nie podoba. Aby ich zgnieść *nadużywa się nawet ambony.* ..

Daliśmy ks. wikaremu do zrozumienia, że się lekceważyć nie pozwolimy i ostrzegli go, aby zaprzestał walki przeciw polskim Tow., bo dopóki nie zawrze zgody z Tow., dopóty wstrzymają się Tow. od udziału w pochodzie z chorągwiami w kościelnych obchodach, księża Gerwin i Schäfer zamiast się z Tow. pojednać, dali nam pojednanie w Zielone świątki z ambony, mówiąc, iż Tow. polskie przestały być katolickiemi (?!), że występują przeciw księżom (?!), ba nawet *przeciw Kościołowi.* Mówili, że Tow. prowadzą Polaków na potępienie i nawoływali, aby ci, którzy chcą zbawić swą duszę, *wystąpili z Tow. polskich, gdyż tam tracą wiarę katolicką* wśród burzycieli i radykalistów, których Bogiem i kościołem jest narodowość i mowa polska. Tak ks. Schäfer prawił mizernie kiepską polszczyzną, a ks. Gerwin wyborną niemczyzną. Byłoby dużo do pisania o tem, bo ich pełne złości wystąpienie przeciw polskim Tow. było iście krzyżackie.

Nadmieniam, iż w Bitterfeldzie istnieje „Katholischer Männer verein,“ dwa polsko-katolickie, Tow. św. „Barbary“ i „Sobieski.“ Mimo to założyli nasi księża nowe Tow.: „Polnischer Männer Verein, (?!!) obrachowane na rozbicie zgody i jedności pomiędzy Polakami, a nieświadomi Polacy lecą na oślep do nowego Tow., ponieważ księża swym wpływem naprzykrzają się im obiecując złote góry, a mianowicie, iż będą należeć do verbandu i t. d. Zatem *baczność* wszystkie cztery Tow. polskie!

Niech wszyscy członkowie stoją wiernie przy swoich sztandarach, by ani jeden zdrajca się nie znalazł, który by miał swoją chorągiew opuścić. Niech wszyscy dobrze myślący Polacy staną po stronie Tow. i nie pozwolą się uwieść germanizatorom.

Na wywody ks. wikarego, iż gazet polskich nie mamy czytać, bo występują złowrogo i podkopują powagę kościoła katolickiego, szydzą z wiary i t. d. — odpowiem słówko. Proszę ks. wikarego bardzo uprzejmie, aby nam pokazał taką gazetę i artykuł, gdzie szydzą z wiary, Kościoła i t. d., a zaraz ją czytać przestaniemy. My wypełniamy nasze obowiązki religijne i staramy się pozostać wiernymi katolikami, na co Pan Bóg jest świadkiem, *to też nie lękamy się takich księży wrogo dla nas usposobionych,* chociaż grożą nam piekłem i Sądem ostatecznym. Piekło jest dla tych, co sobie na nie zasłużą, a *nie dla tych, których germanizatorzy nienawidzą, a wszystko nie katolickie obłuczą w płaszcz katolicki.* Proszę naszych księży w Bitterfeldzie, aby poprzestali swoich wycieczek z ambony przeciw Polsko-katolickim Towarzystwom, *gdyż jest to niegodne księdza katolickiego.*

Ignacy Szyszkowiak.

* * *

Broń przeciwko Polakom, którą ks. kard. Kopp dał przez swój niefortunny list pasterski księżom uprawiającym germanizatorską politykę w kościele, pochwycili skwapliwie górnośląscy fararze i zużytkowali przy wyborach z skutkami, które wyszły na jaw szczególnie w Laurahucie i krwawemi głoskami zapiszą się w dziejach odrodzenia ziemi Piastów. Ale nietylko tam, gdzie wrzała walka o mandaty pomiędzy centrowcami a Polakami, orędzie ks. kardynała znalazło pamiętne zastosowanie, lecz bodaj wszędzie gdzie lud polski zostaje pod opieką duchowną księży z wrogiego nam plemienia.

Powyższy ciekawy list wiarusa z Saksonii, który informuje nas o gospodarce księży-germanizatorów tamże, zawiera dla nich gromką przestrogę. Każdy prawdziwy duszpasterz przekona się z tego listu, jak niecną i dla kościoła niebezpieczną jest owa politykomania duchownych niemieckich. Niechaj oni nie bałamucą ludu polskiego, bo lud nasz, dzięki Bogu, nie jest już tak ciemnym, aby szedł ślepo na lep mów germanizatorów. Niech nie wystawiają swych polskich parafian na próbę, nie odstręczają ich od siebie i kościoła, bo może to pociągnąć za sobą w burzliwych czasach smutne skutki, za które oni sami odpowiedzą przed Bogiem. Znając lud nasz, wiemy, iż cechuje go głęboki szacunek dla duchownych i mamy dowody, że nie jest on wcale pohopnym do burd i gwałtów, wszelako niech ci zaślepieni germanizatorowie upamiętają się i nie nadużywają ambony i konfesyonału do swych stronniczych celów, nie przeciwdziałają naturalnemu prądowi narodowościowemu, [illegible] wszystko ma swe granica. Krwawe zajścia w Laurahucie powin-

ny powstrzymać w germanizacyjnym zapale niemieckich księży. W każdym razie ich praktyki muszą wywołać opór i reakcyą, która odbije się na nich samych i nie wyjdzie na dobre sprawie kościoła.

W przytoczonym liście jest przestroga i dla was, kochani bracia na obczyźnie, abyśmy nie dali się wciągnąć w wody germanizatorów. Bardzo mądrze zrobili wychodźcy nasi w Bitterfeldzie, że dali do zrozumienia swym księżom, iż się nie pozwolą lekceważyć jako Polacy. Niestety krok ten nie poskutkował. Jednakże rodacy w Bitterfeldzie nie powinni się tem zrażać, lecz wysłać z grona parafian kilku światłych członków Towarzystw polskich do ks. Gerwina i Schäfera i na plebanii przedłożyć im swe słuszne żale. Należy powiedzieć im to wszystko co nasz przyjaciel pisze w swym liście, należy im wrazić w pamięć, że Polacy są jaknajwierniejszemi dziećmi Kościoła, ale równie gorąco przywiązanymi do swej mowy ojczystej, do swego obyczaju i nieszczęśliwej Ojczyzny, a *nie* na to chodzą do kościoła, aby tam słuchać politycznych wywodów i przemówień antypolskich. Nie do takich celów służy świątynia Pańska. Wara księżom od uprawiania polityki. Jeżeli chcą oni mieć mir pomiędzy ludem polskim i być jego prawdziwymi duchowymi opiekunami muszą sami zbratać się duchem z tym ludem, powierzonym ich opiece, przejąć się jego ideałami. Jeśli wymagają szacunku — muszą sami szanować lud polski i wszystko, co on ukochał.

Nastały takie czasy, że w pośród najprzeróżniejszych germanizatorów najniebezpieczniejszymi są dla nas właśnie tacy ludzie, jak ks. Gerwin. Tacy wrogowie polskości nie zbliżają się do nas tak otwarcie jak patentowani ha[illegible], lecz z maską przyjaciół, pod którą kryją swe antypolskie dążności. O tem lud nasz musi pamiętać i, gdzie tylko styka się z takimi księżmi, odciąć im przystęp do Towarzystw polskich. Lud sam musi nauczyć się wszędzie kierować sobą w rzeczach świeckich, musi okazać tyle siły odpornej, by nie dać się wciągnąć do związków prowadzonych przez wrogów narodowości naszej.

Najlepszą, najwymowniejszą odpowiedzią księdzu Gerwinowi i nauką dla takich germanizatorów będzie, że wszyscy ci zaślepieni i słabi na duchu, co dali się wciągnąć do owego „Polnischer Männer Verein'u" — *wystąpią z niego jak jeden mąż.* Wtedy ks. wikary i inni germanizatorowie przekonają się dobitnie, że *Polacy nie żartują, że to nie bydełko, lecz ludzie uświadomieni, i — poczną ich szanować.*

Dalej więc, wiarusy! *Precz z niemieckiego związku — pod polski sztandar!*

Ordon.



Pożyteczna literatura.

I.

Ministrowie pruscy występowali tak w parlamencie niemieckim jak i w sejmie pruskim niejednokrotnie z twierdzeniem ,że dla Niemiec i Prus *„kwestya polska"* właściwie już nie istnieje. Znikła ona z widowni już dawno, definitywnie zaś z chwilą zupełnego wcielenia W. Ks. Poznańskiego do Rzeszy niemieckiej r. 1867. Od tego czasu niema już w monarchii pruskiej Polaków, są tylko Prusacy po polsku mówiący. Gdy zaś ze strony polskiej zwraca im się na to uwagę, dlaczego w takim razie prześladuje się *Polaków* tylu wyjątkowemi ustawami i nadzwyczajnemi środkami, odpowiadają: nie prześladujemy Polaków, tylko popieramy Prusaków, niemieckiej narodowości, a czynimy to dlatego, aby wobec wzmagającej się siły Niemców w „wschodnich" dzielnicach, tamtejszym „Prusakom" *polskiego* języka odechciało się raz na zawsze wskrzeszać polskie ideały, odgrywać rolę Polaków, marzyć o odbudowaniu Polski.

Są to łamańce logiczne, sofizmaty, w których prawdę i trafność nie wierzą nawet ci, którzy je głoszą. Mieści się w nich spora doza pychy i buty, która wstydzi się — a może i obawia przyznać, że mimo stuletniej polityki eksterminacyjnej rządu pruskiego pod jego panowaniem zawsze jeszcze istnieje coś, czegoby za istniejące uważać już nie chciano; jest w tem dalej chęć okłamania samego siebie, wprowadzenia w błąd opinii publicznej w Niemczech, aby nie zrażała się faktycznie bezowocną walką, lecz tem energiczniej dążyła do ostatecznego celu, który nibyto jest już blizkim.

Historycy przyszłych pokoleń czytać będą te twierdzenia pruskich mężów stanu z niemałem zdziwieniem, które spotęguje się jeszcze, gdy dla poinformowania się o właściwym stanie rzeczy naszych czasów zajrzą także do *bibliografii* niemieckiej. Dowiedzą się bowiem z niej, ile to w chwili, gdy kwestya polska dla rządu pruskiego rzekomo już istnieć przestała, poświęcono dla tej kwestyi czasu i pracy, ile dla jej wyjaśnienia i rozwiązania wylano po stronie niemieckiej na papier atramentu i farby drukarskiej.

Faktem bowiem jest, że od roku 1880, a więc od chwili rozpoczęcia jeszcze intenzywniejszej niż dawniej polityki antypolskiej, powstała w Niemczech nowa zupełnie gałąź literatury, a mianowicie bardzo rozległa i rozmaita *literatura antypolska.* Liczy ona już — od roku 1880 po dziś dzień *około 100 dzieł,* broszur, pism ulotnych. Wiele z nich ma jedynie cel agitacyjny, a tem samem tylko przemijające znaczenie; dużo jednakże jest między niemi prac *bardzo poważnych,* opartych na długich studyach, lub skrzętnie zebranych materyałach statystycznych, posiadających zatem trwałą wartość. Jeźli zaś Niemcy tyle teraz o nas myślą i piszą, i wcale się z tem nie tają, że myślą i piszą o *Polakach,* przeto w tej literaturze najlepszy tkwi dowód, iż owe twierdzenia ministrów są bezpodstawne, a „kwestya polska" trapi dziś Niemcy i Prusy stokroć bardziej i groźniej, niż trapiła je dawniej.

Prasa *polska* niestety za mało poświęca uwagi tej literaturze antypolskiej. Jest to tem dziwniejsze, że przecież tak skwapliwie i obszernie referuje zwykle o każdym głosie niemieckim, który wyjątkowo sprawiedliwiej lub chociaż tylko bezstronniej o nas się odzywa. Przyznamy chętnie, że czytanie i streszczanie antipolskich elaboratów i dzieł nie jest bynajmniej rzeczą przyjemną.

Zawierają one przecież zwykle tyle perfidyi, kłamstwa, widocznej złej woli no i nienawiści do nas, iż bez gniewu lub wstrętu nie można ich przeczytać do końca. Mimo to należałoby wstręt przezwyciężyć, a gniew przytłumić i czytać owe książki dokładnie. Zdradzają one bowiem wszelkie plany i dążenia naszych wrogów, które poznać zawczasu jest rzeczą wielce pożyteczną dla tych, którzy kierują opinią publiczną po naszej stronie; przedewszystkiem zaś zawierają one bardzo obfity *materyał statystyczny,* który na innej drodze nie jest dostępny dla nas. Materyał ten poucza nas dokładnie, gdzie i jakie są słabe strony w społeczeństwie naszem, gdzie i jakiej potrzeba naprawy, zwiększonej pracy, baczniejszej czujności. Na ich podstawie możnaby nieraz ułożyć bardzo pożądany dla nas program dalszych czynów, dalszych zabiegów około obrony naszej *narodowości* i naszego bytu *materyalnego.*

Do tego r[illegible] publikacyi, wymienionych wedł[illegible]encyi autora przeciwko nam, a w gruncie rzeczy i dla *nas po-*

żytecznych zaliczyć musimy grubą książkę, jaka się pojawiła w ostatnich tygodniach w niemieckim handlu księgarskim. Jest to „studyum" płatnego agitatora hakaty w Poznaniu, dra Leona *Wegenera* pod tytułem: „*Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen*" — co znaczy po polsku: „*Ekonomiczna walka Niemców z Polakami o prowincyą Poznańską.*" O książce tej nasza prasa codzienna ledwie że wspomniała, ograniczając się przytem głównie na stwierdzeniu i napiętnowaniu jej antipolskiej tendencyi; uważamy tedy za nasz obowiązek zająć się nią bliżej i zapoznać z nią Czytelników polskich.

Aby zaś pan Leon Wegener nie pysznił się zanadto tym wielkim dla swej książki zaszczytem, oświadczamy z góry, że w przeciwieństwie do pism codziennych pobieżnie tylko zajmować się będziemy tendencyą dzieła, która jest w wysokim stopniu antipolską, oraz jego własnemi wnioskami, rozumowaniami i twierdzeniami, które są również w wysokim stopniu *nielogiczne, niemądre i niesprawiedliwe;* za to tem obszerniej rozpiszemy się o dodanym do książki *materyale statystycznym.* Ten zaś nie jest wytworem jego pracy, lecz jedynie podarkiem ze strony urzędowej, a dla nas stokroć ważniejszym od wszelkich jego na pozór bardzo uczonych wywodów.

Konstatujemy zaś zaraz na wstępie, że autor wyraźnie mówi o *Polakach* i że z nimi kruszy kopie. Tem bowiem zadaje kłam panom ministrom. Jeżli bowiem istnieją w obrębie granic monarchii pruscy *Polacy,* to tem samem istnieć musi także „*kwestya polska*" w Prusiech.

Bardziej interesującą jest dla nas przedmowa do jego książki. Dowiadujemy się bowiem z niej nasamprzód, że wydał on to dzieło za radą znanego prof. *Maxa Webera w Heidelbergu.* Nowy to dowód, że i poważne sfery naukowe w Niemczech coraz bardziej interesują się sprawą polską. Dalej powiada nam w niej, *zkąd i od kogo* otrzymał tak obfite daty statystyczne; spotykamy tu nazwiska byłego naczelnego prezesa p. *Willamowitza-Möllendorffa,* byłego prezesa komisyi kolonizacyjnej dr. *Wittenburga,* archiwaryuszy poznańskich Prümersa, Warschauera i Schottmüllera oraz radcy regencyjnego *Grossmanna.* Jeszcze ciekawszym zaś jest szczegół, że ministerstwo *odmówiło* mu odpisu i publikacyi dat, odnoszących się *do podziału wyznań, względnie narodowości na rozmaite zawody i gałęzie zarobkowania w poszczególnych powiatach.* Wynika z tego, że rząd z pewnych względów *nie* życzy sobie publikacyi tych właśnie cyfr.

Przytoczony przez niego materyał statystyczny jest wprawdzie w części znany z publikacyi urzędowych, ale mimo to bardzo interesujący ze względu na jego ugrupowanie i zestawienie. W części jednakże mamy w tem dziele także materyał nowy, mianowicie dotyczący wychodźtwa naszego w głąb Niemiec oraz *przechodzenia własności ziemskiej, mniejszej i większej z rąk polskich w niemieckie i na odwrot.* I tym materyałem oraz innemi datami zajmiemy się obszerniej w następnych artykułach.

Czujny.



Z Abbazyi.

(Garść wrażeń z słowiańskiej Reviery.)

II.

Abbazya-Opatya łączy w sobie wszelkie warunki miejsca klimatycznego i kąpieli morskich; posiada nietylko morze, ale i góry.

Klimat jej można scharakteryzować jako morski łagodno-wilgotny. Od strony morza mają wolny do niej dostęp ciepłe wiatry południowe, od wiatrów północnych i wschodnich chroni ją Karst (czyli Kras) i potężny, wznoszący się też nad nią Monte-Naggiore, wysoki na blizko 1400 metrów.

Temperatura powietrza zależna tu jest głównie od dwóch wiatrów, groźnego „*Bora*" i południowego gorącego „*Scirocco,*" który rodzi się na piaszczystych pustyniach Sahary. Pierwszy sprowadza chłód, drugi ciepło i wilgoć. Rzadko atoli, bo przeciętnie zaledwie w 8 lub 10 dniach w roku dokuczliwy gdzieindziej „Bora" tak jest silny, iż wrażliwsi chorzy zmuszeni są pozostać w pokoju. Nieraz, gdy szaleje nawet w pobliskiej Rjece (Fimne), Abbazyi ledwie uczuć się daje. „Scirocco" o tyle niekiedy staje się nieprzyjemnym dla gości, że przynosząc deszcze „uniemożliwia im dalsze spacery. Przy silnym jego powiewie morze jest tak wzburzone, że fale morskie dochodzą do 3 metrów wysokości. Interesujący to widok, gdy uderzając o skaliste wybrzeże, rozbryzgują się w gęstą białą pianę. Przy takiem łamaniu się fal morskich powietrze na wybrzeżu przesiąknięte jest silnie *solami morskiemi,* daje więc sposobność do naturalnej inhalacyi, jakiej żadna sztuczna nie jest w stanie dorównać.

Mróz i śnieg są tu gośćmi bardzo rzadkimi. Pierwszy zjawia się raz na lat kilka i mija szybko; drugi przeciętnie pięć do dziewięciu razy do roku, nigdy atoli nie pokrywa ziemi dłużej, jak na kilka godzin. Średnia roczna temperatura Abbazyi wynosi 13,2 stopni Celsiusza, średnia temperatura zimowa stopni 8 ponad zero.

Zalety klimatyczne Abbazyi wykazuje najlepiej następujące jej porównanie z innemi słynnemi miejscowościami, zestawione przez lekarzy prof. Glaxa i dr. Kosteckiego. Średnia temperatura roczna i średnia zimowa Abbazyi wyższą jest, niż w Arco, Gardone, Lugano, Meran, Montreux i Vevey. Tylko *Pau* w południowej Francyi przewyższa ją pod tym względem. Roczna i zimowa jej temperatura równa się temperaturze w Arcachon i słynnem Biarritz. Latem jednakże chłodniej tu, niż na francuskiej Rivierze. *Wilgoć* Abbazyi jest bardzo wielką. Przewyższa ona pod tym względem wszystkie stacye klimatyczne Europy, z wyjątkiem Pau i Montreux.

Nie dziw że w takich warunkach klimatycznych praca i sztuka ludzka wytworzyła tu silną i bujną roślinność. Rosną tu na wolnem powietrzu latem i zimą palmy, laury różnego gatunku, agawy, figi, kamelie, drzewa świętojańskie, bambusy, migdały, juki, cypresy, oleandry, rododendrony, mirty, eukaliptusy, aloesy, mimozy, oliwy, magnolie i granaty, oraz wiele innych roślin egzotycznych, a w takiej gęstości i masie, iż wjeżdżając do Abbazyi ma się wrażenie jednego ogromnego ogrodu egzotycznego.

Kto przyzwyczajony jest *do ruchu,* lub komu go potrzeba dla zdrowia, może używać go aż nadto. Wygodnie urządzone chodniki, promenady i goścince wznoszą się coraz wyżej aż na szczyt „Monte Maggiore", z którego niezrównany roztacza się widok na zatokę Quarnero, na wyspy i wybrzeża dalmackie, na całą Istryę. Jedna z najcudniejszych rzeczy, jakie posiada Abbazya, a której nie ma żadne z miejsc kąpielowych nad *Bałtykiem* lub morzem *północnem,* jest jej *promenada nadbrzeżna.* Jest to droga wykuta w skale, otoczona prześliczną roślinnością, wijąca się wzdłuż wybrzeży na przestrzeni 7 kilometrowej. Podobną, ale w miniaturze posiada tylko Nervi. Zaleta tej promenady jest, że oprócz cudownych widoków daje „kuracyuszom" możność używania przechadzki przez *cały* dzień, wygrzewania się na słońcu i oddychania przedziwnie czystem powietrzem, wolnem od wszelkich mikrobów. Rozstawione gęsto ławki pozwalają słabszym wypocząć na chwilę, gdzie tylko uczują znużenie.

Charakter kąpieli morskich w Abbazyi jest zupełnie odmienny od charakteru kąpieli północnych. Nie ma

tu silnej fali, lub zjawia się tylko rzadko — i z tego powodu mogą używać kąpieli *osoby zdenerwowane*, bo zastósowane należycie, działają one wzmacniająco i uspokajająco. Kąpiele północne natomiast dla takich chorych wcale się nie nadają, gdyż zamiast uspakajać, bardziej jeszcze podniecają i rozdrażniają. Są tu dobrze urządzone łazienki na brzegu morza. Sezon główny kąpielowy zaczyna się zwykle z końcem *Sierpnia* (chociaż można z kąpieli korzystać już od *końca maja)* — a kończy się dopiero w *listopadzie.*

Oprócz braku silnych fal, zaletą tych kąpieli jest dość wysoka temperatura wody, która przeciętnie wynosi 17 stopni, a dochodzi do 23 stopni Reaum. *Ogromną* przytem jest zawartość *soli* w wodzie morskiej. Podczas bowiem gdy wody *Bałtyku* zawierają jej tylko 6 do 19 pro mille, a wody morza północnego 33 pro mille, w zatoce Quarnero dochodzi ona *do 37 i 40.*

Kto więc może znaleźć zdrowie i ulgę w Abbazyi?

Otóż najpierw chorzy na *serce* i wielkie *naczynia krwionośne;* dalej cierpiący na *astmę, zakatarzenie organów oddechowych,* na skrofuły (zwłaszcza dzieci) i bliednicę, na chorobę cukrową i *wszelkie cierpienia nerwowe.* Przedewszystkiem atoli zaleca się pobyt w Abbazyi *przepracowanym,* potrzebującym wypoczynku i spokoju — oraz *rekonwalescentom.*

Tak jest — *spokój — oto najwalniejsza zaleta Abbazyi.* Położona zdala od wielkich traktów komunikacyjnych tak samo od bardziej zwiedzanej drogi turystów, którzy np. tak niemile zakłócają pobyt cierpiących na Rivierze włosko francuzkiej, tworzy świat dla siebie, bez wrzawy, gorączkowych wybuchów ruchu i życia, bez hucznych zabaw i denerwujących rozrywek. Dobra orkiestra, skromny teatr niemiecki — oto wszystko, co daje z dziedziny sztuki. Za to znaleźć tu można miejsca zaciszne z cudownemi widokami na morze, na ruch łodzi i okrętów, dążących do *Rjeki,* lub z niej w świat daleki; można wspinać się w ciszy i samotności na wysokie stoki góry wśród drzew laurowych i kasztanów, odbywać przejażdżki morskie łodziami i parowcami na krótszą lub dalszą metę, oddawać się lekturze, przyglądać się na słońcu igraszkom zwinnych jaszczurek na skałach lub lotowi mew na morzu, wsłuchiwać się w piękny koncert różnorodnego ptactwa w gęstwinach. Jak błogo i uspakajająco np. oddziaływa na nerwowo chorego chociażby tylko kilkagodzinny pobyt na promenadzie, gdzie pod stopami monotonnie szumią fale morskie, słońce odbija się w falach a nad głową szeleści las zieleni, *nikt i nic* zaś nie przeszkadza myślom i uczuciom, tego nikt nie pojmie, kto tam tego nie przebył.

Dla nas, dla Polaków pobyt tu bardzo miły, ponieważ zbiera się nas tu *coraz więcej* — mianowicie z *Galicyi i Królestwa.* Podczas tegorocznego sezonu wiosennego *Polacy,* jak zapewniał piszącego te słowa dyrektor komisyi kuracyjnej, *stanowili po Węgrach najliczniejszy zastęp gości.* Nieraz na promenadach lub w kawiarniach słyszeć było można tylko język polski, tak samo na parowcach, kursujących pomiędzy miastami nadbrzeżnemi. W starym kościółku św. Jakóba raz po raz kapłan polski, bawiący tu na kuracyi, po nabożeństwie rozpoczynał głośno modły *po polsku,* a cała publiczność odpowiadała mu chórem. Nadmienić jeszcze wypada że w kościółku tym nabożeństwo odbywa się *nie* po niemiecku, lub po włosku, lecz wyłącznie po *chorwacku.* Nawet litania mszalna jest *chorwacka* a raczej *starosłowiańska.*

Niemcy tu bardzo skromni, nikt Polakowi nie wyrządzi przykrości — podróż do Abbazyi przez Węgry tania. pobyt również niezbyt drogi, — więc pocóż zwiedzać niemieckie bady, gdy tu wyleczyć się i wypocząć można *przyjemniej?*

I. K. M.



Z TYGODNIA.

Pokazało się znowu, że zasady etyczne, które stanowią rzekomo podstawę cywilizacyi i kultury, *w polityce* naszej cywilizowanej i kulturalnej Europy mają wartość i znaczenie o tyle tylko, o ile to odpowiada interesom monarchów i rządów. Mordercy serbskiej pary królewskiej nietylko że nie otrzymali najmniejszej kary, ale zyskali nawet uznanie i pochwałę nowego króla. Pierwszym jego aktem urzędowym po objęciu tronu, było wydanie proklamacyi do narodu i armii. W proklamacyi tej w szumnych słowach nowy monarcha serbski pozostawia sąd o tem, co zaszło w historyi; ze swej strony zaś wyraża niemal podziw dla bohaterstwa wojska serbskiego i jego poświęcenia dla ojczyzny. Ten akt królewski zamyka stanowczo całą tę „kwestyę'', nad którą obrażona w swych etycznych uczuciach opinia ludów europejskich przez dwa tygodnie łamała sobie głowę. A mocarstwa? A no! te również pogodziły się z faktem dokonanym. Nawet *Rosya,* która w pierwszej chwili z takim naciskiem żądała ukarania królobójstwa, teraz spuściła z tonu i oświadczyła, że nie myśli robić trudności nowemu władcy serbskiemu. Za tą dyplomatyczną zasadę skryły się także wszystkie inne państwa. Kilka z nich np. Anglia, Francya, Włochy, o tyle jeszcze liczyły się z opinią publiczną, że nie pozwoliły swym posłom w Belgradzie brać udziału w uroczystościach wjazdu i przyjęcia króla Piotra; gdy atoli doniósł on rządom o fakcie objęcia tronu, ze wszystkich stron nadeszły bardzo serdeczne dla niego telegramy gratulacyjne. Małuczko zaś, a posłowie tych mocarstw znów wrócą do stolicy serbskiej i wszystko znów pójdzie zwykłym trybem.

Prawda, narody, społeczeństwa posiadają bezwarunkowo większe prawa, niż jednostki. Dobro ogólne górować winno zawsze nad dobrem jednostek, dla dobra ogółu wolno też chwycić się niekiedy środków, które w życiu prywatnem spotkałyby się może z bardzo dosadnią krytyką. Nie ulega też wątpliwości, że dobro Serbii wymagało usunięcia zdegenerowanej dynastyi i zidyociałego nawpół króla. Nie można by też potępiać Serbów, gdyby go byli wraz z godną jego małżonką przepędzili za granicę. Ale mordu, prawdziwie tłumnego mordu, nie tylko na osobie króla i królowej, ale także na ich krewnych i ministrach nie wolno uniewinniać nawet względami na dobro Serbii. Przejdzie on do historyi jako pospolita zbrodnia, a przyszłe pokolenia niemało się dziwić będą, że uszła ona sprawcom tak bezkarnie.

My, Polacy tej obojętności Europy wobec okropnego czynu białogrodzkiego właściwie dziwić się nie możemy. Wszakże i na naszym narodzie dokonano kilkakrotnie zbrodni, nawet stokroć cięższej jeszcze, niż ta w Serbii! I dziś jeszcze wyrządza nam się codziennie krzywdy, wołające o pomstę do nieba, a Europie również ani przez myśl nie przejdzie ująć się za nami. My przywykliśmy już niemal do zbrodni, mordów i gwałtów politycznych. Jeżeli zaś mimo to, mimo pobratymstwa, łączącego nas z Serbami, właśnie w prasie polskiej zbrodnia białogrodzka doznała ogólnego a surowego potępienia, to dowodzi to tylko, że poczucie słuszności i sprawiedliwości nie dyplomatycznej, lecz prawdziwie chrześciańskiej tkwi w nas głębiej i głośniej przemawia, niż u wielu rządów i monarchów, narzucających się światu na stróżów i wykonawców etyki i moralności.

Jaki obrot wezmą wewnętrzne i zewnętrzne sprawy Serbii wskutek tej gwałtownej zmiany, trudno przewidzieć. Na razie zapanował tam spokój, co więcej widoczny jest prąd zmierzający do ustalenia wewnętrznego położe-

się, szarpanego dotychczas bezustannie walkami stronniczemi. Dużo w tym kierunku zależeć będzie od nowego władzcy. Dałby Bóg, ażeby okazał się godnym pokładanego w nim zaufania — chociaż jego żądza władzy i pobłażliwość dla okropnej zbrodni, której tron zawdzięcza, nie zbyt dobrze wróży o jego charakterze i — o przyszłości.

Przesilenia gabinetowe na *Węgrzech* i we *Włoszech*, o których donosiliśmy w przeszłym naszym przeglądzie, już ukończone. Państwo Madziarów ma już nowy gabinet. Utworzył go rzeczywiście kat Chorwacyi, baron *Khuen-Hederwary*. Przywiózł zaś ziomkom swoim z Wiednia tyle ustępstw, iż przejednał niemi nawet skrajną opozycyą. Dwór wiedeński okazał się w tym wypadku tak szczodrym i łaskawym dla Węgrów, jakim dotychczas nigdy nie okazał się wobec wiernych Polaków galicyjskich. Ci przekonali się ponownie, że grzeczność i uległość w polityce nie popłaca, że tylko ten dziś coś zyskuje, kto gwałtem upomina się o swoje prawa. Zdaje się jednakże, że załatwione w ten sposób przesilenie na Węgrzech pociągnie za sobą częściowe chociaż przesilenie w *Austryi*. Austryacka Rada państwa musi teraz unieważniać uchwaloną przez siebie nową ustawę wojskową, ponieważ zrzekła jej się korona dla przejednania Węgrów. Ponieważ zaś nietylko prezes gabinetu austryackiego dr. *Koerber*, ale także i to głównie austryacki minister obrony krajowej hr. *Welsersheimb*, czasu swego wobec parlamentu austryackiego rzucili na szalę całą swą powagę, ażeby przeprowadzić tę ustawę, więc teraz, gdy będzie ją trzeba cofnąć, stracą może ochotę do dalszego urzędowania w takich warunkach. Stanowisko dr. Koerbera jest wogóle zachwiane nową *obstrukcyą Czechów*. Dla tej obstrukcyi trzeba było przerwać obrady Rady państwa — nadto zagraża ona ugodzie z Węgrami i wielu innym ustawom naglącym. Wogóle — położenie polityczne w Austryi dawno już nie było tak niepewne, jak obecnie.

We Włoszech objął ponownie rządy dotychczasowy gabinet *Zanardellego*. Ciekawa przytem rzecz, że ofiarą przesilenia nie padł minister marynarki, przeciwko któremu takie ciężkie podnoszono zarzuty, lecz minister spraw wewnętrznych *Giolitti*. I tu względy polityczne okazały się silniejszemi, niż względy moralności publicznej. Przyczyną upadku Giolittiego zdaje się być to, że nie umiał on utrzymać w karbach żywiołów republikańskich i socyalno-demokratycznych w Izbie włoskiej. Żywioły te na wieść, że *car rosyjski* zamierza rewizytować króla włoskiego w Rzymie, tak wielką podniosły wrzawę, iż car stracił podobno ochotę do tych odwiedzin, obawiając się podczas pobytu w Rzymie wrogich jakich demonstracyi ze strony ludności. Republikanie i socyaliści włoscy nie chcą przyjmować w swej stolicy władzcy państwa, które gnębi ducha wolności i odmawia praw konstytucyjnych swym poddanym. Czy rzeczywiście zapobiegną wizycie cara, nie wiadomo jeszcze, stanowisko rządu włoskiego w tej sprawie jest jednakże bardzo przykre.

Pan *Combes* uniknął na razie upadku, jakim mu groziła uzupełniająca ustawa o zakonach. Izba deputowanych przyjęła ją znaczną większością. Stanowisko jego jest jednakże zawsze jeszcze niepewne.

Obecnie obraduje nad tą ustawą *senat francuzki*, tam zaś powstała przeciwko niej silniejsza jeszcze opozycya, niż w Izbie posłów. Nawet poprzednik p. Combesa, znany *Waldeck Rousseau* zwrócił się przeciwko niemu. „Pochwalam walkę z zakonami — mówił, o ile ma ona usunąć istniejące nadużycia.

Od dalszej atoli akcyi żądam, ażeby była słuszna i oparta na rzeczywistej potrzebie.“ Tej potrzeby zniesienia wszystkich szkół zakonnych Combes tymczasem nie zdoła wykazać. Przeciwnie, brutalny ten akt rządu nałoży na Francyą olbrzymie nowe ciężary.

W miejsce szkół klasztornych trzeba teraz założyć inne świeckie. To zaś wymaga setek milionów. Rząd pragnie zmusić do budowy i zakładania nowych szkół gminy, lecz te bynajmniej nie mają ochoty podjąć się tego ciężaru. I kto wie, czy strona finansowa tej sprawy nie okaże się silniejszą, niż religijna.

Wybory w Niemczech skończone. Z wyjątkiem *Polaków, Welfów i socyalnej demokracyi* wszystkie inne stronnictwa wrócą do parlamentu liczebnie słabsze. Stronnictwa wolnomyślne straciły niemal połowę mandatów, a nawet stronnictwu centrum ubyło 6 mandatów. Hr. Bülow milczy na razie, nie zdradza niczem, czy się martwi, czy cieszy z takiego rezultatu wyborów. Pozbył on się wprawdzie z parlamentu kilku skrajnych agraryuszy, którzy w poprzednim zatruwali mu życie, ale za to napotka teraz na jeszcze silniejszą opozycyą socyalno-demokratyczną. Wszystko zależy teraz od tego, czy *centrum* przesunie się bardziej jeszcze na stronę rządu, czy też otrzymawszy dotkliwą przestrogę, przypomni sobie dawniejsze swe zasady. Od tego też zależy, czy sytuacya parlamentarna będzie dla nas Polaków *korzystniejszą* lub nie!

K. O.

Przegląd prasy.

Skład *nowego parlamentu* przedstawia się jak następuje:

wybrani	1903	1898	— strata + zysk	
konserwatyści	52	52		0
wolnokonserwatyści	19	20	—	1
antisemici	9	12	—	3
centrum	99	106	—	7
narodowo-liberalni	52	53	—	1
richterowcy wolnom.	21	28	—	7
rickertowcy „	10	15	—	5
poł.-niem. demokraci	6	7	—	1
socyaliści	81	58	×	23
agraryusze	2	6	—	4
Polacy	*16*	*14*	+	2
Welfowie	5	8	+	2
Alzatczycy	9	10	—	1
„dzicy“	10	8	+	2

W ściślejszych wyborach dnia 25 czerwca przeszło:

Konserwatystów 21, wolnokonserwatystów 13, antisemitów 8, centrowców 11, *Polaków 2*, richterowców 21, rickertowców 10, południowo-niemieckich demokratów 6, socyalistów 27, Welfów 5, agraryuszy 2, członków bawarskiego związku chłopskiego 2, Alzatów 3, „dzikich“ 6.

Dalej podajemy okręgi, które są reprezentowane przez Polaków, oraz nazwiska posłów:

Księstwo.

	Dotąd.	Obecnie.
1) Okręg poznański:	Chrzanowski	Chrzanowski
2) wyrzysko-szubiński:	Czarliński	Czarliński
3) ostrowsko-odolanowsko-kępiński:	Radziwiłł	Radziwiłł
4) śrems.-średzki:	Głębocki	Głębocki
5) inowrocławsko-mogilnicko-strzeliński:	dr. Krzymiński	dr. Krzymiński
6) kościańsko-grodziski:	Cegielski	dr. Skarżyński
7) krotoszyńsko-koźmiński:	Jażdzewski	Jażdzewski
8) wrzesińsko-pleszewsko-jaroc.	Dziembowski	dr. A. Chłap
9) rawicko-gost.	Czartoryski	Mycielski
10) gnieźnieńsko-witkowski:	Komierowski	Grabski
11) szamotulsko-obornicko-skwierzyński:	Kwilecki	Mielżyński

Zachodnie Prusy:

	Dotąd.	Obecnie.
12) starogardzko-tczewski:	Neubauer	Wolszlegier
13) chojnicko-tucholski:	Wolszlegier	Czarliński
14) pucko-wejherowsko-kartuzki:	Janta-Połczyński	Janta-Połczyński

W wyborach ściślejszych *zdobyliśmy:*

		dotąd	obecnie
1)	okręg toruńsko-chełmiński:	Grassman (n. l.)	Brejski
2)	okr. katowicko-zabrski:	(G. Ś.) Letocha (c.)	Korfanty.

Poseł Leon Czarliński ma dwa mandaty, przyjmie wybór z wyrzysko-szubińskiego okręgu, więc wybrany zostanie nowy poseł w okręgu chojnicko-tucholskim, dla nas zupełnie pewnym.

Dając pogląd na całokształt wyborów *„Dzien. Berl.“* zauważa, że:

„Właściwymi *zwycięzcami* w co dopiero ukończonych wyborach są tylko Polacy, Welfowie i socyaliści, bo nie tylko, że utrzymali dotychczasowy swój stan posiadania, ale mogą się poszczycić dorobkiem, nie tylko w liczbie głosów, które padły na ich kandydatów, ale także w liczbie zdobytych mandatów poselskich.“

Zwyciężonymi zaś są hakatyści, o których *„Kolońska Volkszeitung“* tak pisze:

„Pomimo wielkich i małych środków nie zdołano złamać polskości. Polacy już w pierwszych wyborach uzyskali bez trudności 14 mandatów, a wybory ściślejsze w okręgu wschowsko-leszczyńskim i wiele innych mają wszelkie widoki powodzenia. Nawet w Toruniu i Grudziądzu siedzibie polakożerczego „Geselligera“ wchodzą Polacy do wyborów ściślejszych. W dodatku doprowadzono do tego, że Polacy także parlamentarnie ostrzejszego tonu użyją.

„W obec tego wszystkiego i ze względu na wzrost socyalizmu, powinni patryoci (niemieccy) przyznać, że są jeszcze ważniejsze rzeczy do spełnienia od walki przeciwko centrum i katolicyzmowi i przeistaczania nauki religii dla dzieci polskich na pole manewrów hakatystycznych.“

Zważywszy znaczny przyrost liczebny socyalistów i wybitnie rządowy charakter partyi niemieckich katolików, którzy przy wyborach ściślejszych wszędzie popierali rządowców, *„Dzien. Pozn.“* — który dotąd radził trzymać się fałdy centrum — sądzi, że „i nam liczyć się może z niem wypadnie w ten czy w ów sposób, byle z taktem dla naszego stosunku do wszystkiego, co za świętość uważamy.“ I dalej tak pisze:

„Pamiętać przedewszystkiem o tem należy, że jak między centrowcami, tak i między socyalistami są narodowo-niemieccy szowiniści, którym tak samo dowierzać nie można jak tamtym.

„Ale w naszem położeniu, pod wielu względami niejasnem, uprzedzać się nie można tak trwale, jakby rzekomo zasady nakazywały. Stronnictwo socyalistyczne z ogólnym poklaskiem większości opinii niemieckiej, tak wielkie zrobiło postępy, że mu odmówić nie można miana stronnictwa przyszłości. Dziś po dokonanych wyborach i wrażeniu, jakie robią tryumfy socyalizmu, inczej argumentować nie można. A z resztą wyboru sojuszów dla nas nie będzie, zwłaszcza jeżeli centrum całkiem się od nas odwróci.“

Nawet *„Kur. Pozn.“* uznaje, że stosunek Polaków do centrum powinien „podledz dokładnej rewizyi“ i wątpi mocno, czy węzeł ten nie zerwie się, bo nawet „Kuryer P.“ przyznać musi, że:

„Kto jechał na Górny Ślązk jako przyjaciel dawnego naszego sojusznika — centrum i przypatrzył się, co się tam dzieje, ten z goryczą w sercu ku Niemcom-katolikom i znacznej części duchowieństwa powracał ztamtąd wobec tego, co od nich lud nasz i jego dusza polska tam znosić musiała.“

Widocznie nikt już nie może pozostać ślepym na antypolską politykę centrum. Wymowny przykład tego mieliśmy przy wyborach ściślejszych w okręgu leszczyńsko - wschowskim. Nie dość, że ks. Tasch pogwalcił kompromis i stawił się na kandydata przeciwko ks. Mojżykiewiczowi, ale przy ściślejszych wyborach zeszeregował niemieckich katolików przeciwko polskiemu duchownemu tak, iż przeprowadzono tam konserwatystę Schmidta. Centrowcy tamtejsi pisali w swej odezwie między innemi co następuje:

„Ks. proboszcz Mojżykiewicz jest dla nas *niemożliwym* kandydatem, mimo iż jest katolikiem.

„Byłoby to pożałowania godną a dla nas haniebną rzeczą, gdyby przeważnie niemiecki okręg wyborczy wschowsko-leszczyński z naszej winy miał być przez Polaka w parlamencie reprezentowany.

Dla nas Niemców-katolików wchodzi tylko w rachubę pan rajca miejski Schmidt.“

Nie tylko w tym okręgu, ale wszędzie gdzie centrowcy mieli do wyboru pomiędzy katolikiem-Polakiem a ewangielikiem-hakatystą — oddawali swe głosy na hakatystę! Wobec tego *wszyscy* Polacy bodaj nauczą się liczyć *tylko na siebie!*

Jaką miłością otaczają niemieccy księża lud polski okazuje się z oburzającego zajścia na G. Ślązku, gdzie pewien ksiądz-hakatysta poszedł za sławetną radą hr. Ballestrema, że polskich agitatorów należy „auf's Maul schlagen.“ Do *„Górnoślązaka“* piszą o tem z *Mikołowa*:

„Gdym w niedzielę, 21 bm. wychodził z kościoła mikołowskiego, nie mogąc się przecisnąć przez drzwi zatarasowane (bo zaraz przed kościołem rozdawali odezwy na p. Faltina), zobaczyłem ks. kapelana Kamela, jak biegł gdzieś szybko pod parasolem. Z ciekawości podążyłem za nim. Aż tu widzę znów kupę ludzi. Rozdawają odezwę na p. Kowalczyka. Ks. kapelan Kamel stanął i zawołał: „Targać to, targać!“ Toruje sobie drogę do rozdającego, w czem mu dopomagał p. Placzek. Dostawszy się blisko roznościciela, przystąpił do niego *ks. Kamel i z całych sił wyciął mu policzek! Jak długo żyć będę spamiętam tę straszną chwilę.*

Po tym czynie ks. Kamel rozogniony jak szkarłat popędził ku kościołowi nazad, snać, że się zapomniał za bardzo, a tą ręką, którą przed paru minutami piastował Pana Jezusa, teraz zelżył swego współbrata. Oczy moje zaszły mgłą, gdyż w tej chwili widziałem przed oczyma mojemi kapłana i.... nie wymienię tu nazwy, na którą zasłużył, dla uszanowania jego stanu kapłańskiego. Co się dalej stało, nie wiem, bo byłem tak przerażony, że się już nie troszczyłem o więcej. To tylko wiem, że rozdający kartki wspaniałomyślnie sobie postąpił, bo żadnego odwetu nie wziął.“

Mimo to wszystko *„Dzien. Pozn.“* pisząc o *krwawem zajściu w Laurahucie* śmie twierdzić, że jednym z powodów rozlewu krwi była *„zaczepność“* ze strony polskiej“! Wyciągnąwszy przy tej okazyi wszystkie armaty przeciwko radykałom, wszechpolakom i jak tam w żargonie dziennikowym nazywają się wszyscy prawdziwi Polacy — organ eksugodowców kończy taką enuncyacyą:

„Już się odzywają głosy, czy pewni politycy polscy nie są może na żołdzie hakatystycznym, (sic!!) skoro prawdą jest, że tuzinami rozsyłają swych agitatorów po świecie, co przecież kosztuje pieniądze. My oczywiście w to nie wierzymy, ale pozory są, a robota tych agitatorów jest zupełnie po myśli hakatystów (??)

Jakżeby oni pragnęli, żeby i u nas „krew się polała“ i do więzienia wsadzać można a chleba pozbawiać setki żywicieli rodzin (!!)

Tak szalony wybryk spotkał się z dosadnią odprawą *wszystkich* bez wyjątku pism polskich. Nawet „Kuryer“ widząc całą beztaktowność i niecną stronniczość „Dziennika“, wytknął mu, że zwalając winę na Polaków w Laurahucie denuncyuje rodaków, podsuwa prokuratorowi broń przeciwko ludowi polskiemu. Niemniej podnosi, że uczciwości t. z. radykałów nikt nie może zakwestyonować ani chwili. Zresztą skąd płyną fundusze na agitacyą wiedział „Dzien. Pozn.“ tak dobrze jak inni. Skandaliczny ten występ *„Dzien.* napiętnował *„Orędownik“* w artykule „kazirodztwo polityczne,“ w którym czytamy:

„Dziennik Pozn. chorujący stale na powagę i mentorstwo nie tylko wobec całej prasy polskiej, ale wobec całego społeczeństwa naszego, roszczący sobie prawo do chodzącej mądrości politycznej i będący wyrazem bodaj wyznaniem wiary tej inteligencyi, którą jako wzór przeciwstawia niedojrzałym masom, ten „Dziennik“ machnął powyżej dwa zdania, z których znaczenia chyba nie zdał sobie sprawy.

„Zdaniem tego „zaczepność ze stro-

ny polskiej" doprowadziła do ubolewania godnych rozruchów. To śmie twierdzić „Dzien. Pozn." razem z naszymi nieprzejednanymi wrogami, a nawet jeszcze przed nimi, o owym ludzie polskim, który swego czasu spokojnie z poważnym bólem patrzał na zamykanie drogich mu świątyń Pańskich, o owym ludzie, który spokojnie opuszcza setki nieprawnie rozwiązanych zebrań, o owym ludzie, który z cichą łzą w oku patrzy na katowanie swoich dziatek i wreszcie o owym ludzie, który pozwala się bić po twarzy przez księży germanizatorów za to tylko, że pełni swój obowiązek narodowy."

„Dzien. P." wie dobrze, że fundusze na ten cel zebrano zostały na wiecu niedzielnym, a mimo to nie wstydzi się wygłaszać podobnych fałszów, które *nawet najohydniejszym denuncyantom zaszczytu by nie przyniosły.*"

„Cóż sądzić mają o naszych sprawach i naszem uświadomieniu narodowem Niemcy, jeżeli pismu polskiemu uchodzącemu za najpierwsze pod zaborem pruskim „wolno" wygłaszać podobne denuncyacye? Cóż na to powiedzą ci, dla których program polityczny „Dziennika Pozn." jest wyrocznią, dla których pismo to jest wszystkiem?"

W *„Postępie"* czytamy:

„Tak jak „Dzien. Pozn." nawet nie napisał hakatystyczny i policyjny *„Tageblatt"* poznański, ale teraz naturalnie, będzie się cieszył wywodom „Dz. Pozn." Usłużni mogą podać ten artykuł prokuratorowi na dowód, że lud polski jest w ogólności zaczepnym."

Co się tyczy *rzekomej* pogłoski jakoby inicyatorowie wiecu ślązkiego w Poznaniu byli na żołdzie hakatystów, *„Postęp"* pisze:

„Takie podejrzenia nie są bez pewnego celu rzucane, chodzi o zohydzenie tych wszystkich, którzy stoją na odmiennej drodze w polityce od dróg „Dziennikowych." Jak się nie ma innych argumentów, to trzeba ludzi sobie niemiłych zrobić agentami policyjnymi, to najsnadniejsze pozbycie się przeciwników. Nie chcemy tutaj zużyć słów zbyt drastycznych, jakie by się należały w odpowiedzi na insynuacye „Dzien. Pozn.", ale nacechujemy tę robotę tylko mianem *łajdactwa politycznego. Dziwić się wypada, że redakcya „Dziennika Pozn." nie znajdzie za to nagany ze strony rady nadzorczej, która powinna czuwać, ażeby podobne wybryki nie pojawiały się w łamach polskiego pisma.* Uwłaczają one bardzo imieniowi polskiemu."

Każdy musi się solidaryzować z tym programem *„Dzien. Pozn."* który skompromitował się i zdyskredytował do szczęty tak, że jest *obowiązkiem* rady nadzorczej wkroczyć i zapobiedz *takim* wybuchom stronniczości.

„Dzien. Pozn." był jedynem pismem, które nie odgadło, że za rozruchy w *Laurahucie* prócz księdza germanizatora i orędzia ks. kardynała Koppa są odpowiedzialni *socyaliści*.

Główny organ socyalistyczny *„Vorwärts"* nie pozostawia nas pod tym względem w najmniejszej wątpliwości.

Zajścia te wpłynęły na wynik wyborów w okręgu *katowickim* — podnosi nawet sprzyjająca „Katolikowi" *„Gazeta Opolska"*, taki kreśląc obraz położenia *na Ślązku*:

„Gdy teraz zapytamy, co mianowicie przyczyniło się do ożywienia ruchu narodowego w wyborach, to odpowiedzieć należy na podstawie dokładnych informacyi, które posiadamy, że przyczyn szukać należy:

1). w liście pasterskim przeciw gazetom, który umysłów nie uspokoił, lecz je rozgoryczył.

2). w polityce na ambonie, którą w celach agitacyi wyborczej różni księża uprawiali, zamiast rzecz pozostawić gazetom i odezwom wyborczym, bo agitacya polityczna z ambony stała się już dawno niepopularną i znienawidzoną u ludu.

3). ostatnie rozruchy i zaburzenia w Laurahucie rozdrażniły lud i skłoniły przychylność na stronę kandydata narodowego.

Rozważając te trzy fakta, byliśmy z góry tego przekonania, że szanse i widoki p. Letochy znacznie osłabły. Centrum poniosło więc w dwóch (w jednym jak się ostatecznie okazało Przyp. Red.) okręgach klęskę, która zapewne stała się już niepowetowaną, a utrata tych dwóch mandatów wpłynie niewątpliwie poważnie na dalszy rozwój spraw polskich na Ślązku.

Systemowi pruskiemu dostał się również bolesny cios, gdyż polityka wynaradawiania i bezwzględnej germanizacyi dostała obuchem w łeb. Wynik zaś teraźniejszych wyborów w dzielnicach polskich świadczy wymownie, że germanizacya przynosi wprost przeciwne zamierzonym rezultaty...

O przeprowadzeniu p. Korfantego pisze *„Górnoślązak"* w artykule „Nasze zwycięstwo" między innemi jak następuje:

„Zwycięstwo nasze w jednym okręgu to zwiastunka nowej epoki dziejowej na Górnym Śląsku. Po tylu wiekach obcej gospodarki i obcego a bardzo macoszego przewodnictwa, nareszcie odetchnąć możemy swobodnie. Terroryzm Niemców-centrowców, który strasznie dawał się we znaki wszystkim, najbardziej zaciężył nad ludem polskim. Centrowcy w silne go wzięli objęcia i mimo wszelkich usiłowań i jawnie okazywanej im pogardy, dobrowolnie panowania u nas zrzec się nie myślą. Lud polski, gnębiony i nękany na każdym kroku, nie miał dotąd żadnego obrońcy, przed którym wyspowiadaćby się mógł z żalów i bólów swoich. Wszędzie przemoc i świadoma germanizacya, a znikąd ni pomocy ni pociechy.

„Nareszcie doczekaliśmy się prawego obrońcy, przez usta którego dowie się Polska cała i świat cały o niecnej i ohydnej gospodarce centrowców na ziemi naszej, dowie się świat, jak wygląda w praktyce katolicyzm niemiecki.

„Partya centrowa znikczemniała obecnie zupełnie. Przy powyższem twierdzeniu mamy w pierwszej linii na myśli partyę centrową na miejscu w kraju, a nie ich przywódzców berlińskich. Partya centrowa najnikczemniejszych używa środków, nadużywa nawet imienia samego Boga, aby ratować swe wpływy polityczne."

Zwycięstwo to sprawy narodowej na Ślązku doda ducha wszystkim tym t. z. agitatorom wielkopolskim, którzy położyli kamień węgielny pod gmach odrodzenia Ślązka. Im i wszystkim Polakom — jak pisze *„Gon. Wielkopolski.* —

„Dziś i zawsze jedna tylko myśl nam przyświecać powinna i musi: szerzenie samowiedzy wśród ludu i szeregowanie go w jeden karny obóz, zdolny czoło stawić każdemu naporowi zajedno skąd i od kogo przychodzi.

„Dziś czas i pora wywieszenia sztandaru narodowego,, około którego ugrupować i połączyć się winni wszyscy, bez względu na stan i wiarę, pod którym umilknąć muszą wszystkie swary, zatargi i osobiste niesnaski, pod którym winna znaleźć jak najszersze uznanie zasada podporządkowania interesów jednostek interesom ogółu.

„Wobec kłamstw, oszczerstw i potwarzy, któremi obrzucają narodowość naszą, naszych przodków i bohaterów, wobec krzywd wyrządzanych ludowi pod płaszczykiem „szerzenia kultury" i „dobra ogółu," wobec blagi i wychwalania przez wrogów naszych swej siły, *dziś winien każdy być „agitatorem wielkopolskim."*

W sprawie *sprzedaży Pakosławia* piszą do *„Dzien. Berl.,"* że w „interesie" tym pośredniczył

„ajent *Nepomucen Kierski*, ten sam co pomógł sprzedać komisyi kolonizacyjnej Ostrowite w Prusach Zachodnich (4000 mórg ziemi), który sprzedał jej własny swój majątek Polskie (Brzezie), a któremu to nie przeszkadza wcale w przebywaniu w kołach polskich, a nawet w należeniu do resursy!

„Uwagi tu zbyteczne. Wszelkie i najostrzejsze słowa wydają nam się zbyt słabemi wobec tej — zgnilizny moralnej."

Z pod *Koronowa* piszą do *„Gońca Wielkop.,"* że zanosi się tam na nowe sprzedaże majątków w ręce kolonizacyi. Do sprzedawczyków korespondent ten odzywa się w te słowa:

„Czy nie boicie się Boga i ludzi?! czy nie boicie się, że w grobach obrócą się prochy ojców Waszych, którzy ziemię potem swym zroszoną Wam zdali przecież nie na to, abyście ją zaprzedali — bez potrzeby — za grosz judaszowy na wieczną zatratę.

„Jeżeli tak sobie postępujecie, oby każdy trojak kolonizatorski piekł waszą dłoń jak żelazo rozpalone, oby żaden dom polski wam drzwi swych nie otworzył, oby żaden rodak wam dłoni nie podał, oby nie tylko na was, ale na dzieci wasze i wnuki każdy palcem

wskazywał, że to ludzie i potomki tych, którzy ziemię polską nie z potrzeby, lecz dla wygody i dla kilku marnych groszy na wieczne czasy zaprzepaścili!"

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Janikowo, dnia 22-go Czerwca 1903.

W niedzielę dnia 21-go czerwca zostało założone Towarzystwo robotników katolickich w Janikowie — na sali p. Wittrin. — Zebranie zagaił ks. prob. Kowalewski z Trlonga o godz. 5-tej po poł. i odczytał porządek dzienny. Po odśpiewaniu pieśni „Kto się w opiekę" przemówił w serdecznych słowach czcigodny Ks. prob. do zebranych, wykazując jak potrzebnem jest w dzisiejszych czasach niewiary i zepsucia „Katolickie Towarzystwo Robotników". Czcigodny mówca zwrócił uwagę na ostatnie wybory, i podniósł jaki postęp robi propaganda socyalistyczna, dowodząc jak niebezpiecznym jest socyalizm dla wiary naszej św. i całego porządku społecznego oraz zachęcając, do jaknajliczniejszego współudziału w towarzystwie.

— Do zarządu wybranym został ks. prob. Kowalski jako patron a p. Walenty Piskorski z Michalinowa jako wicepatron. Dalej: p. Stanisław Figlewicz z Janikowa Prezes, — p. Władysław Marcinkowski skarbnik, Hieronim Grützmacher bibliotekarz, pp. Lewandowski, Bachora i Walentowicz radni.

Po odczytaniu ustaw Towarzystwa przez sekr. p. Marcinkowskiego postanowiono, że zebrania odbywać się będą w pierwszą niedzielę każdego miesiąca po poł. na sali p. Wittrin w Janikowie. W końcu przemawiał p. Fr. Marcinkowski, ks. patronowi dziękując za jego starania około założenia „Towarzystwa. Mówca zaznaczył, iż ks. patr. mimo swej choroby, która go trawi, starał się jak tylko mógł, ażeby Towarzystwo przyszło do skutku. W końcu wzniósł okrzyk na cześć ks. Patrona, który zebrani z zapałem powtórzyli. Na zakończenie odśpiewano pieśń „Witaj Królowa", poczem ks. Patron solwował zebranie. Na członków zapisało się od razu siedemdziesiątjeden osób. Słowa uznania się należy dziewczętom z Janikowa a mianowicie pp. Józefie Baranowskiej i Konstancyi Wojciechowskiej za to, te przyczyniły się do upiększenia sali.

Władysław Marcinkowski.
sekretarz.

Toruń, 27 czerwca 1903.

Wiecie już oczywiście, że udało nam się przeprowadzić w wyborach pana Brejskiego 175 głosami. Wczoraj jednak pod wieczór rozeszła się pogłoska, że zwyciężył Grassmann. Niemcy rozlepiali odnośne plakaty. Na to przed redakcyą „Gazety Toruńskiej" zebrał się tysiączny tłum. Gdy chłopiec począł nalepiać plakat oznajmiający zwycięstwo pana Brejskiego, policyant zdarł go, lecz chłopiec znowu zabrał się do nalepiania go kawałkami. Skoro tłum dowiedział się co zawiera obwieszczenie, rozległ się na całej ulicy potężny okrzyk: niech żyje Brejski! Okrzykom nie było końca, jednakże publiczność zachowywała się spokojnie. Mimo to jakiś policyant, wojowniczo usposobiony, zaczął rozpędzać tłum, wydobył pałasz i aresztowano kilka osób za rzekome zakłócenie porządku.

Niemcy wściekli z powodu naszego zwycięstwa. Wielu wyborców niemieckich zgromadziło się w czwartek około północy w strzelnicy. Zamówili kilka sądków piwa, by popić się na cześć zwycięzcy Grassmanna. Ale się zawiedli w nadziei. Przybył landrat i oznajmił im, że „niestety niemiecki kandydat został pokonany" więc z długimi nosami pojechali do domu jak niepyszni.

Co Niemcy dokazywali, by przeforsować swego hakatystę — przechodzi pojęcie. Agitacya z ich strony była większa jak po naszej. Dopiero w ostatnich dniach grono obywateli naszych ruszyło się do żywej agitacyi. Na dzień przed wyborami Niemcy porozsełali po wsiach okolicznych odezwy *polskie, aby pobałamucić naszych* i urwać p. Brejskiemu kilkaset głosów. Odezwy te brzmiały tak:

„Rodacy!
Głosujcie w czwartek
dnia 25-go czerwca,
tylko na prawdziwego (!) kandydata,
Pana Leona . (!) Czarlińskiego.
On sam będzie się starał usilnie działać w naszem (!) interesie.

Zdrajca ten ,co tego świętego obowiązku nie wypełni i nie będzie głosował na pana Leona von Czarlińskiego.

Skoro tylko dowiedzieliśmy się o tym podstępie Niemców, pojechało nas kilku do wsi Popowa, gdzie te fałszowane odezwy kursowały, wytłomaczyli rodakom wszystko i poodbierali kartki wyborcze z napisem: „Leo von Czarliński." Dokazaliśmy tego, że podstęp ten Niemcom się *nie* udał, bo jeden tylko wyborca oddał taką kartkę. Niemczysko, które zfabrykowało tę odezwę dla wygłupienia włościan, nie umiało widocznie dobrze po polsku, bo ją tak napisało, że pewnie się nad nią naśmiejecie.

Takiemi to sztuczkami chcieli Niemcy przeprowadzić swego hakatystę. Ale wszystko na nic! Cieszymy się, że nie wpuściliśmy tego hakatysty, znanego z wyroku na gimnazyastów toruńskich, do parlamentu, i zdobyli mandat, który nam się należał.

Pan Brejski jeszcze w więzieniu. Wyjdzie dopiero 28. lipca. Nie wolno mu było przesłać radosnej wiadomości, ale zapewne odwiedził go który z przyjaciół i choć nieznacznie zdradził mu radosną wiadomość.

Teraz o to chodzi, abyśmy okręgu tego z rąk nie wypuścili!

S. K.



Targ w Zakopanem.

Rysował Walery Eliasz Radzikowski.

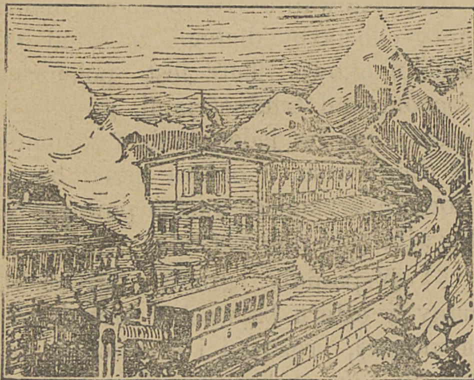
DRUKIEM „PRACY“.

Dział illustrowany.

Kolej w Tatrach.

(Do illustracyi.)

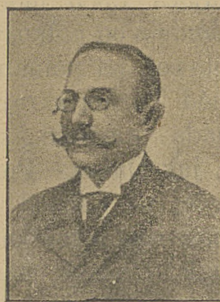
Za przykładem Szwajcarji, powstaje w Tatrach wązkotorowa kolej zębata, która z Zakopanego prowadzi do stóp Świnnicy, tego najwspanialszego szczytu w obrębie Tatr polskich. Niebawem więc, prawie bez żadnego trudu, bez zmęczenia i bez ryzyka turysta będzie się mógł dostać na wyżyny, dostępne dotąd dla wprawnych tylko taterników. Końcowa stacja kolei znajdować się będzie o 1,250 metrów wyżej, niż Zakopane, a 2,100 metrów po nad poziomem morza . Ztąd oporęczona ścieżka wyprowadza na szczyt Świnnicy (2,306 metrów), gdzie turysta ma przed sobą nieporównanie romantyczną panoramę tatrzańską. Cała długość Tatr wynosi tylko 112 kilometrów, a największa szerokość zaledwie 45. Więc ze Świnnicy obejmuje się ich całość, potargane szczyty skał, przepaście, jeziora, hale, a przez błękitnawą mgłę rozsiane w dalekiej perspektywie osady Podhala.



Kolej zakopańska.

Sama Świnnica, bez względu na wszystkie panoramy, dostarcza także emocyj niezwykłyych. Jest to owa oddalona, prawie zaziemska już sfera, o której Fredro powiedział piękne słowa: „Dalej ludzi — bliżej Boga“, zbanalizowane przez tyle podlotków sentymentalnych, szukających wzruszeń na wysokości. Znakomity uczony, Edward Strasburger, profesor uniwersytetu w Born, dał się porwać czarowi tej części Tatr polskich i, uniesiony najwyższym entuzjazmem, pisał: „Z każdym oddechem czystsza staje się tutaj krew i zmniejsza się ciężar, który ciało nasze do ziemi przygniata. Zamiast w dół, wytężamy wzrok ku stromym skałom, gdyż jeszcze wyższe wabią nas wierzchołki. Nad przepaścią bieleje droga na Świnnicę. Tam iść może tylko śmiałek, gdyż ścieżka, na szczyt prowadząca, wije się po wązkich turniach nad bezdennemi głębiami. Za trud i śmiałość wynagradza hojnie wspaniały widok ze Świnnicy na wszystkie grzbiety i szczyty, hen, daleko, po za Nowy Targ, w polską ziemię i na płaszczyzny węgierskie. Powietrze jest tak czyste, że chętka bierze nieskończoność ogarnąć, za horyzontem dosięgnąć do morza, do którego zdają się bezustannie dążyć miljony kropel, spływających po wilgotnych turniach.“

Oto jaki zachwyt budzą Tatry polskie w cudzoziemcu, więc w człowieku, który patrzy na nie bez miłości, z samym tylko podziwem. Warunki naturalne sprzyjają zatem cudownie skierowaniu tutaj tysięcy i tysięcy turystów. Podobnie, jak w Alpach szwajcarskich, mógłby rozwinąć się tu formalny przemysł turystowski, mogłyby powstać osady klimatyczne, setki will, dziesiątki hotelów; cała fala pieniędzy, która płynie corocznie z ubogiej ziemi naszej na Zachód, mogłaby być powstrzymana, i druga taka fala mogłaby z czasem skierować się do nas z Zachodu. Kolej na Świnnicę ma za zadanie zrealizować częściowo ten obraz idealny. W niedalekiej przyszłości stanie się ona już faktem dokonanym. Oto jej szkic, nakreślony przez twórcę projektu, inżyniera Walerjana Dzieślewskiego ze Lwowa:



Inż. Waleryan Dzieślewski, twórca projektu kolei w Tatrach.

Kolej wychodzi z dworca kolei żelaznej w Zakopanem. Biegnie ulicą Jagiellońską i Chałubińskiego po drodze krajowej do Kuźnic (988 metrów nad poziomem morza), gdzie projektuje się stacja. Ponieważ Kuźnice są ulubionym celem spacerów publiczności zakopiańskiej, istnieje zamiar utrzymywania stałej komunikacji co kwadrans między dworcem a Kuźnicami podczas lata. Do Kuźnic biegnie kolej po zwykłych szynach w wąwozie, długim 4 tys. metrów. Odtąd zaś na przestrzeni między Kuźnicami a Świnnicą rozpoczyna się właściwa górska kolej zębata, długa 7,700 metrów, biegnąca po grzbietach Tatr. W Kuźnicach więc przekracza potok, zwany Bystrą, i już w obrębie gminy Murzacichłe, wzdłuż Kasprowego i potoku Jaworzynki dochodzi do drugiej z rzędu stacji „Rudy“, gdzie przed laty wydobywano rudę żelazną dla fabryk w Kuźnicach i Poroninie. Ze stacji „Rudy“ w kierunku południowo-zachodnim przewija się kolej zębata do trzeciej stacyi „Hale,“ najdogodniejszego punktu dla wycieczek ku Czarnemu-Stawowi, a następnie, zostawiając po prawej stronie Beskid, wznosi się ku przełęczy „Liljowe“, gdzie założona będzie czwarta stacya. Ztąd w kierunku południowym po za turnią skrajną i pośrednią biegnie wzdłuż granicy węgierskiej i kończy się na przełęczy pod Świnnicą, na wysokości 2,100 metrów. Tu projektuje się większa stacya, a prawdopodobnie stanie duży hotel dla wygody turystów. Przy wyborze kierunku uwzględniono prawdopodobieństwo, że z czasem może się uda połączyć Zakopane przez góry ze stacyą kolei zębatej przy jeziorze Szczyrbskiem, które w tym roku właśnie nabył rząd węgierski na własność w celu urządzenia tam wielkiego uzdrowiska klimatycznego. Kolej, przecinająca najpiękniejszą część Tatr, mająca liczne stacje i przystanki, otoczone willami i hotelami, umożliwiłaby odbywanie dalszych wycieczek w głąb gór bez straty czasu. Linja Zakopane—Świnnica stanowiłaby połowę dzieła, gdyż kończy się na samej granicy kraju.

Szybkość projektowanej kolei obliczona jest na ośm kilometrów na godzinę, tak iż jazda z Zakopanego pod Świnnicę i z powrotem trwać będzie okrągłe trzy godziny. Będzie to szybkość normalna, dość duża, jeżeli się uwzględni, że pionowa różnica między pierwszą a ostatnią stacyą, na przestrzeni 11 kilometrów, wynosi 1,210 metrów. Proponowana opłata za wjazd wynosić ma 6 koron, za zjazd 4 korony. Czy znajdzie się wśród osób, przybywających do Zakopanego tylu turystów, mających ochotę puścić się nową koleją górską

ku Świnnicy, ażeby wpływające opłaty pokryły koszta przedsiębiorstwa i dały zyski? Na pytanie to inżynier Dześlewski odpowiada następującem obliczeniem:

— W Zakopanem jest 40 przewodników, którzy w 40 dniach pogodnych obsługują przeciętnie po 5 osoby, co czyni okrągło 5 tysięcy osób. Furek jedno i parokonnych jest przeszło 250, z tych 50 wozi przez czterdzieści dni pogodnych dziennie po 4 osoby, co czyni 8 tysięcy osób. Uwzględnijmy dalej, że przez owych 40 dni pogodnych po 100 osób dziennie, czyli razem 4 tys. odbywa wycieczki bez przewodnika — a już otrzymamy cyfrę 17 tys. osób. Wszystkie te w rachubę wzięte osoby są zdrowe, mogą używać furek trzęsących, mogą się narażać na niewygody, jak: zmęczenie, brak zwyczajnego pokarmu, niebezpieczeństwo zmoknięcia, za lekkie lub za ciężkie ubranie i t. d. Z grona osób starszych lub mniej wytrzymałych, któreby mogły się zdecydować na odbycie wycieczki tylko w warunkach bardzo wygodnych, więc koleją żelazną, można liczyć przez całe lato na 3 tys. Tak więc otrzymaliśmy cyfrę 20 tys. Obliczenie to nie będzie bynajmniej optymistyczne wobec faktu, iż zarząd kolei żelaznej w Zakopanem w ciągu 5 miesięcy letnich sprzedał w r. 1900 biletów na wyjazd 60,687, a w roku ubiegłym 65,500. W ten sposób, licząc 20 tys. pasażerów w ciągu roku, dałaby kolej dochodu 200 tys. koron. Wydatki w tym samym czasie, wedle ścisłych obliczeń, wyniosłyby 50 tys., czyli pozostawałoby 150 tys. koron rocznie na amortyzacyę kapitału i na zysk ewentualny. Koszta budowy kolei wyniosą ogółem 2 milj. koron. Jeżeli przyjmiemy od obligacyi w sumie 800 tys. koron odsetki czteroprocentowe w kwocie 32 tys. koron, to pozostanie z dochodu rocznego 118,050 koron, czyli 9,7 proc. od kapitału akcyjnego, wynoszącego 1,200 tys. koron. Jest to przypuszczalny wynik tak korzystny, że gdyby nawet liczba pasażerów w rzeczywistości miała zmniejszyć się do połowy, to i wówczas kolej ta stanowiłaby przedsiębiorstwo zyskowne.

Lecz twórca projektu nie opiera wyłącznie na wycieczkach turystów racyi istnienia kolei. Oto są dalsze zadania, któreby mogła spełnić, i które przemawiają na korzyść projektu:

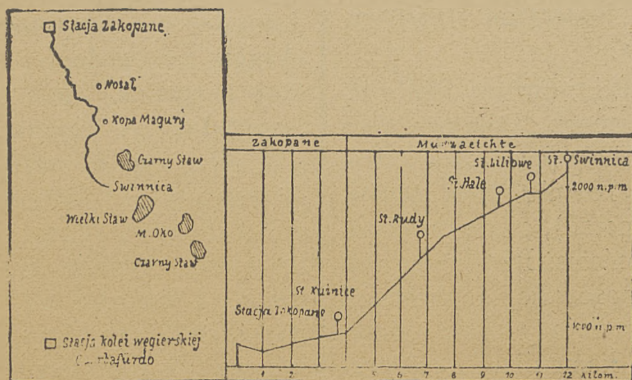
1) Umożliwiłaby założenie stacyi klimatyczno-leczniczej w Halach Gąsienicowych, na wysokości 1,625 metrów. Dopiero taka wysokość stwarza warunki lecznicze w ciężkich chorobach płuc. Zakopane, położone 850 metrów nad poziomem morza, czyli o połowę niżej, nadaje się raczej do leczenia lekkich objawów chorobowych. Dla braku lepszej stacyi klimatycznej, grozi mu, jak wiadomo, ciągle przepełnienie chorymi na gruźlicę. Gdyby z wybudowaniem kolei powstała na Halach Gąsienicowych stacya klimatyczna, obawa ta znikłaby i nastąpiłby racyonalny podział zadań pomiędzy Zakopanem i nową stacyą sąsiednią. Hale Gąsienicowe, płaska dolina górska, obejmująca 1,385 morgów przestrzeni, zasłonięta od północy kopą Magóry i Królowej, na południe Świnnicą, na zachód Turnią skrajną i Liljowem, posiada warunki klimatyczne takie same, jak Davos. Ponieważ byłaby najdalej na wschód wysuniętą stacyą klimatyczną o tak znacznej wysokości, mogłaby liczyć na przyjazd tych chorych z Polski, Węgier, Szlązka i Rosyi, którzy, czy to dla braku sił, czy ze względów oszczędności, niechętnie udają się w daleką podróż do Szwajcaryi.

2) Stworzyłaby ożywiony przemysł nabiałowy, ułatwiając mu transport w doliny. Podhale jest krajem ubogim, ma ziemię lichą, a liczy blizko 40 tys. ludności. Bardzo duża część jej wypasa na halach krowy, owce i kozy i wyrabia swoje sławne serki: oszczypki, brusy, kaczki i t. d. Na samych Halach Gąsienicowych pasie się przeszło 200 krów i 1,000 owiec i kóz, które dają ogółem 50 tys. litrów mleka z najlepszych ziół tatrzańskich. Rzecz trudna do uwierzenia, że mimo to Zakopane sprowadza mleko z Żywca. Dzieje się to z powodu trudności komunikowania się z halami. Kolej umożliwiłaby szybką dostawę mleka i żętycy dla chorych. Rozwinięta zaś produkcya nabiału podniosłaby zamożność ubogiego ludu Podhala.

3) Rozwinęłoby się górnictwo i te gałęzie przemysłu, które się o nie opierają. W Kuźnicach kwitnął niegdyś fabryczny wyrób żelaza, wyrabianego z rudy, odkrytej w dolinie Jaworzynki jeszcze za czasów króla Augusta II, i z rudy, wydobywanej z bogatych pokładów Magury. Około roku 1840 wytapiano w wielkim piecu kuźnickim 250 centnarów surowca tygodniowo, przyczem stale zatrudniano 540 ludzi, oprócz robotników przygodnych. Ten świetny przemysł górniczy zniknął w r. 1875, po przeszło stuletniem istnieniu. Wskrzeszenie jego mogłoby łatwo nastąpić przy zaprowadzeniu ruchu kolejowego w Tatrach. W publikacyi swojej o kopalnictwie Karpat obliczył geolog Karol Schindler, że w górach tych znajduje się 179,999,820 centnarów żelaza surowego, czyli że przez tysiąc lat możnaby wydobywać rocznie 179,999 centnarów. Wielką obfitość rudy żelaznej stwierdzają geologowie: prof. Uhlig („Geologia Tatr,“ nakładem Akademii we Wiedniu), prof. Szajnocha i inni. O eksploatowaniu tych bogactw niema mowy chociażby dlatego, że samo badanie naukowe Tatr jest połączone z ogromnemi trudnościami, gdyż wydostanie się na jeden grzbiet wymaga pół dnia czasu, a obawa przed burzą i nocą przeszkadza pracom poważnym. Ułatwiłaby to dopiero kolej.

4) Wspaniały granit tatrzański, znany w czteru barwach: szarej, zielonkowatej, różowej i czerwonej, nadaje się jako wyborny materyał budowlany i architektoniczny na słupy, podpory, płyty, stopnie schodowe, stoły, postumenty, tablice ornamentalne i t. d. W całym świecie, gdzie tylko przyroda dała granit, eksploatują go dla własnego użytku i na wywóz. U nas tylko, mimo milionów metrów sześciennych w Tatrach, przemysł granitowy nie istnieje, i mogąc granit eksportować, sprowadzamy go sami od sąsiadów, głównie z tego powodu, że pokłady nasze znajdują się w niedostępnych okolicach koło Hal Gąsienicowych. To samo wreszcie tyczy się i tatrzańskiego wapienia, dolomitu, gneisu, piaskowca, łyszczyku. Kolej pod Świnnicę umożliwi eksploatacyę tych bogactw przyrodzonych i, stwarzając nowe gałęzie przemysłu, może dać chleb tysiącom rodzin.

A jeżeli choć część tego różowego programu się urzeczywistni, to tem sa-



Dwie mapki kolei zakopiańskiej.

mem podniesie się rentowność kolei, która już przy ruchu osobowym jest w stanie bardzo dobrze utrzymać się. Pozostaje jednak pytanie, czy mimo wszystko, przy znanej ospałości polskiego kapitału, znajdą się w kraju pieniądze na nowe przedsiębiorstwo? Inicyator i twórca projektu zwrócił się do sejmu o poparcie finansowe.

— Jeżeli kraj — są jego słowa — uzna publiczną użyteczność tego przedsiębiorstwa, to trzeba nam tylko 333,332 koron, jako $^1/_6$ dwóch milj. koron, albo zahypotekowanej pewności 4 proc. od tej sumy rocznie, to jest 13,332 korony ,a kolej będzie wybudowana i prowadzona tylko polskim kapitałem. Jeżeli tej $^1/_6$ w kraju nie znajdę, będę musiał z żalem posiłkować się kapitałami obcemi.

Dodajmy, że kapitały te gotowe są przyjść z Lucerny, więc ztamtąd, gdzie przed laty trzydziestu rozległy się pierwsze strzały min, któremi wysadzono skały pod budowę kolei zębatej na Rigi, więc z kraju, gdzie użyteczność takich kolei zaznaczyła się wielu milionami dochodu.

Prof. Uhlig z Wiednia wita projekt kolei do Świnnicy, jako myśl wysoce szczęśliwą. Sądzi, że „to wielkie dzieło będzie nową siłą przyciągającą wspaniałych Tatr i podniesie ruch obcych nietylko w okolice Zakopanego, ale i do innych okolic w Galicyi, a przedewszystkiem do tak wysoce zajmującego miasta, jakiem jest Kraków.“ Pozatem przyznaje jej niepoślednią wartość przemysłową.

Projekt kolei, przedstawiony sejmowi, poparła gorąco gmina Zakopane. Nowy wójt zakopiański, dr. Andrzej Chramiec, wyborny znawca stosunków miejscowych, człowiek trzeźwy i rozważny, sam wyborny gospodarz, przyzwyczajony do wielkich obrotów pieniężnych, wyraża się o projekcie z najwyższem uznaniem:

— Ta kolej podniesie i samo Zakopane i całe Tatry. Sprowadzi z pewnością moc zagranicznych turystów, którzy przybywają już dziś w warunkach zupełnie niekorzystnych, kiedy się nie zrobiło absolutnie nic dla przyciągnięcia obcych, a bardzo niewiele nawet dla swoich. Co jednak ważniejsze: umożliwi stworzenie nowej osady leczniczej na Liljowem pod Świnnicą i to będzie dopiero prawdziwa polska stacya dla chorych piersiowych, potrzebujących wysokiego powietrza górskiego. Wierzę, że zastąpi nam w zupełności Davos.

Tak mówi doskonały znawca Tatr i lekarz-fachowiec.

K. P.





Kazimierz Krzyżanowski, artysta - malarz.





Salon sztuki w Poznaniu.

Oddawna odczuwano w dzielnicy naszej jakiś zupełny zanik i zastój w ruchu umysłowym i artystycznym. Beocya, zawsze Beocya, to już niemal „epiteton ornans“ dla Poznania. Żadnego ogniska literackiego ani artystycznego, żadnego żywszego ruchu umysłowego; społeczeństwo zda się przygniecione ciągłą walką o byt narodowy i społeczny nie miało sił ni czasu do oddawania się wrażeniom idealniejszym, do unoszenia się w sfery artystycznych dążeń i pragnień, poprostu zanik ideałów na całej linii! Dopiero może od roku szary nasz horyzont zaczyna się ożywiać jakiemiś blademi promykami, zaczyna się budzić z sennego letargu. — Znalazły się jednostki odczuwające głęboko owe braki dotkliwe, zaczęto się trochę zajmować i wgłębiać w kwestye estetyczne, i wtedy też z natury rzeczy musiano pomyśleć o założeniu jakiegoś ogniska artystycznego, które dawałoby jaki taki przytułek zabłąkanej w Beocyi naszej muzie, a może — może uda się tę zabłąkaną pozyskać dla nas, może gościnnie przyjęta upodoba sobie nasze kąty, pozostanie na dłużej, może na zawsze, i zaświeci nam „lux in tenebris...“

Stanął więc w Poznaniu salon sztuki — ale w jakich warunkach?

Inicyatywę zawdzięczamy panu Dominikowi Jeżewskiemu z Głębokiego, który postanowił myśl rzuconą, a nawet rozbieraną już tu i owdzie w gazetach i towarzystwach — przybliżyć trochę do czynu i celu, i ofiarował kilkaset marek na założenie stałej wystawy sztuki w Poznaniu. Spodziewal się zacny inicyator, że za jego przykładem pójdzie legion ofiarodawców, ale



Widok na Świnnicę.

— omylił się. Owe kilkaset marek nie pomnożyły się.

A jednak mamy dzisiaj salon sztuki i to dzięki energii i zapobiegliwości artysty malarza Kazimierza Krzyżanowskiego, który w tak trudnych warunkach zdołał stworzyć dzieło, nie uderzające blaskiem i błyskotliwą potęgą, ale bądź co bądź dzieło, które dla naszej dzielnicy wielką ma doniosłość i które już dziś przybiera poważne rozmiary, tak pod względem ilości jak i doboru wystawionych obrazów i rzeźb.

Jeżeli salon sztuki się rozwinie, a to zależy już tylko od dobrej chęci publiczności, to przez to samo podniesie się i artystyczny poziom naszego społeczeństwa i będzie to głównie zasługą p. Krzyżanowskiego, który zamienił w czyn pragnienia i myśli żywione oddawna w sercach małej tylko garstki miłujących, albo choćby tylko zajmujących się sztuką, garstki, która się zwolna, za bardzo zwolna, ale przynajmniej stale powiększa, jak o tem świadczy zwiększająca się liczba członków stałych.

W krótkim przeciągu czasu, odkąd wystawa istnieje, mieliśmy sposobność zapoznać się z pracami takich artystów, jak Wojciecha Kossaka, Fałata, Wywiórskiego, Chełmińskiego, Stasiaka, Podkowińskiego, Samuela Hirszenberga, Nowiny, Paulina Gardzielewskiego, Kazimierza Krzyżanowskiego, Kruszewskiego, Józefa Graczyńskiego, prof. Jaroczyńskiego, Kazimierza Szmyta, widzieliśmy rzeźby Marcinkowskiego, Flauma i innych.

Ta wystawa sztuki ma dla nas i naszych stosunków znaczenie podwójne, bo nietylko podnosi poziom artystyczny w publiczności, jest jeszcze inny doniosły czynnik, który podnosi jej znaczenie na naszej glebie ugornej. Myślę tutaj o tych naszych rodzinnych talentach, „zapoznanych geniuszach,“ których między nami nie brak, a które jak więdnące liście giną marnie, zapomniane w swem cichem ukryciu, niepodsycane żadnym sokiem ożywczym, bo ta zimna atmosfera naszych pojęć i poglądów z konieczności przygniata i spowija je w senne jakieś wegetowanie, jak rośliny bez światła i słońca.

Otóż tym właśnie orlętom o powiązanych skrzydłach salon sztuki daje jakieś pole do popisu, dodaje im skrzydeł do lotu, i udziela swych ożywczych promieni, a choćby dotąd tylko promyków, ale już „lux in tenebris lucet.“

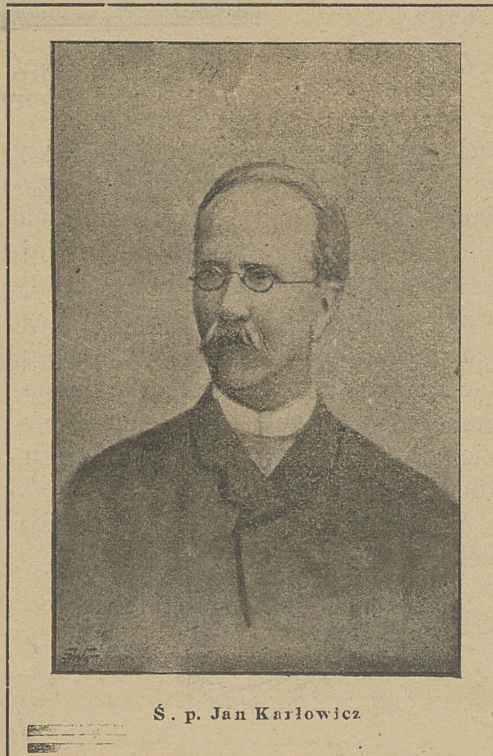
Wiszar.

Ś. p. Jan Karłowicz.

Zmarły w zeszłym miesiącu w Warszawie ś. p. Jan Karłowicz należał do tych umysłów wielostronnych, którym nie wystarcza jedna dziedzina wiedzy. To też znajdziemy imię jego w sferze ogólnej publicystyki, w sferze muzyki, filozofii, historyi, etnografii i językoznawstwa. Głównie jednakże zapisze się on w dziejach nauki polskiej, jako jeden z najświetniejszych językoznawców, oraz jako właściwy twórca umiejętnego folkloru.

Folklor — wyraz pochodzenia szwedzkiego — określa się jako naukę, która zbiera, porównywa i wyjaśnia rzeczy ludowe.

Zbieranie rzeczy ludowych (pieśni, legend, przesądów, tradycyj etc.) rozpoczął u nas już Hugo Kołłątaj, po nim zwłaszcza zasłynął Zorjan Dołęga Chodakowski, a za naszych już czasów największą pracę w tym względzie wykonał O. Kolberg. — Na tle pracy Kolberga i wielu innych mniej znanych źródeł, wreszcie na tle badań Europy zachodniej i studyów własnych oparł J. Karłowicz cały szereg rozpraw, które folklorowi polskiemu nadały cechę naukową. Przedewszystkiem należy tu zaznaczyć pracę pt. Systematyka pieśni ludowych. Nie idzie tu autorowi o klasyfikacyę pieśni pod względem ich charakteru (pieśni weselne, miłosne, żałobne, obrzędowe etc.), ale raczej o ich zbadanie pod względem wątku i pochodzenia. Istnieje śród badaczy pieśni ludowych spór, dotyczący dawności pieśni ludowych: jedni uważają je za niezmiernie stare, przedhistoryczne niemal zabytki twórczości; inni — przeciwnie — są tego zdania, że pieśni ludowe nie mogą być starsze nad w. XIV. i XV. Ta ostatnia hypoteza jest bardzo prawdopodobna, z tem zaznaczeniem, że jednak mogą się w tych nowotworach znajdować przeżytki, które aż dotąd przetrwały śród ludu, jako pomniki pierwotnego poglądu na świat.


Ś. p. Jan Karłowicz

Wydobyć i zrozumieć ten pierwotny pogląd na świat — oto rzeczywisty cel folkloru, — szerszy w istocie, niż się z pozoru wydaje — gdyż folklor graniczy z religią i mitologią, z filozofią pierwotną i pierwotną nauką, zawiera wreszcie wątki pierwotne epopeji i wielkich poematów człowieczeństwa.

W badaniu tych szczątków kultury zamarłej, w wierzeniach ludowych w duchy, w gusła, w czary — odkrywamy pierwoźródło wszystkich teogonij i kosmogonij, ksiąg Wedy i poematów Homera. Folklor poucza nas, że twórczość ludzka jest na całej ziemi jedna i ta sama, że te same pomysły twórcze znachodzą się w starożytnym Egipcie, także na wyspach Polinezyi i w chacie polskiego wieśniaka. To też do zadań folkloru należy również znalezienie drzewa genealogicznego tych głównych wątków, które znajdujemy zawsze na dnie wielkich poematów i wielkich legend człowieczeństwa. Częstokroć się zdarza, że jedna i ta sama legenda występuje np. u Greków jako określony, pełny symboliki mit religijny, gdy w baśni polskiej jest ona tylko motywem bezimiennej klechdy.

Dwojaka hypoteza tłumaczy tę jednostajność: przypuszczenie możliwości jednoczesnego ich powstania w różnych punktach ziemi, oraz przypuszczenie ich wędrówek z jednego centrum. Zazwyczaj Indye uchodziły za taki punkt centralny skąd rozwinęły się nasze klechdy i podania. Jednakże przypuszczenie o Indyach nie wytrzymuje dziś krytyki, wobec tego, że istnieją ślady niewątpliwe pożyczek, jakie Indye poczyniły w innych krajach. Niezmierny urok jednakże ma śledzenie jakiegoś motywu folklorowego — w coraz innej postaci i w coraz innym kraju. Na tem tle rozwinął J. Karłowicz cały szereg nad wyraz interesujących badań jak np. Wątki króla Leara w pieśni ludowej polskiej, o Meluzynie i Wandzie, o Madeju, o Żydzie wiecznym tułaczu, o Walgierzu z Tyńca itd.

Przejście od folkloru do lingwistyki stanowią niektóre rozprawy, a zwłaszcza rzecz o Słoworodzie ludowym, gdzie autor wykazuje wpływ wyobrażeń ludowych na budowę wy-

razów, zwłaszcza zaś wyrazów obcych, które lud bardzo umiejętnie spolszcza (np. perswadować, prześladować, szeseląg-krzeźląg itd.)

Znakomitą pomocą w badaniach językoznawczych była dla Karłowicza gruntowna znajomość litewszczyzny, którą dziś badacze języków aryjskich uważają za klucz do zrozumienia ich budowy, niemniej ważny od sanskrytu; i owszem język litewski posiada formy niejednokrotnie starsze od sanskryckich — i pomimo licznych naleciałości obcych (polskich, ruskich, niemieckich, fińskich) — jest niewątpliwie jedną z najstarszych formacyi lingwistycznych rasy aryjskiej: jego pokrewieństwo z językami celtyckiemi — wyjaśnia zagadkową budowę tych ostatnich. Niestety badanie litewszczyzny jest u nas zaniedbane; Niemcy i Rosyanie więcej się zajmują tym przedmiotem. Ostatnio ułożył gram. litewską po polsku zmarły niedawno biskup I. Baranowski. Językowi litewskiemu poświęcił Karłowicz bardzo cenne studyum; również zajmował się językiem białoruskim.

Oczywiście jednak głównym przedmiotem jego badań był język polski. Ostatniemi czasy obszar badań językowych znacznie się rozwinął: ogarnął on bowiem nietylko język literacki, ale też niezmierzone skarby języka ludowego tak zwany gwar. Każda okolica ma swoje wyrażenia, zwroty, sposoby mówienia, nieraz bardzo godne uwagi.

Benedyktyńskiej pracy J. Karłowicza zawdzięczamy obszerny „Słownik gwar polskich" (Kraków, 1900—1901). Wyszły dotąd dwa tomy, obejmujące litery *A—K*. Jest to prawdziwa kopalnia wyrazów ludowych, ze wskazaniem okolicy i licznemi przykładami. Jak słyszymy, rękopis całkowitego Słownika jest gotowy — i śmierć autora nie powstrzyma dalszego ciągu wydawnictwa. Również niedokończony w druku, choć w rękopisie gotowy, jest „Słownik wyrazów obcego, a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim" (Kraków, 1894—97); wyszły dotąd litery *A—L;* na pozostałość czekamy niecierpliwie.

Nakoniec znakomitą pracą nieboszczyka (wespół z A. A. Kryńskim i Wł. Niedźwiedzkim) jest Słownik języka polskiego, praca ogromnej erudycyi, nagrodzona na konkursie im. Lindego przez Akademię Krakowską. Dzieło to, pomnikowego znaczenia, uzupełnia braki Słownika Lindego i stanowić będzie dla nas podstawową księgę znajomości języka.

Prócz tych kapitalnych prac, Karłowicz ogłosił niemało rozpraw, dotyczących filologii, przyczem każda z tych broszur zawierała wycieczki na szersze widnokręgi myśli i badań: taki charakter mają zwłaszcza ogłoszone w *Pamiętniku fizjograficznym* (1881—1887) rzeczy pt. O imieniu Polaków i Polski, O imionach własnych polskich miejsc i ludzi, Imiona niektórych plemion i ziem dawnej Polski, Chata, studyum lingwist. - archeologiczne.

Do bardzo ważnych prac Karłowicza należy zaliczyć wstęp i komentarze do przekładu Taylora „Cywilizacyi Pierwotnej;" zwłaszcza w przedmiotach polsko - słowiańskich dopiski te są ogromnej wartości. Na tle tych nowoczesnych badań w dziedzinie folklorze i etnologii — oparł też Karłowicz swoją rzecz „O człowieku pierwotnym," 7 odczytów, wygłoszonych niedawno we Lwowie, świeżo wydanych przez Tow. Wydawnicze.

Przekład niektórych szkiców Macaulay'a, Etyki Spencera, wreszcie Dziejów stosunku wiary do rozumu Drapera — uzupełnia pracowity żywot Karłowicza.

Osobną sferę jego życia stanowiła miłość muzyki; sam był uzdolnionym wiolonczelistą i w domu swoim uprawiał koncerty symfoniczne. Mieczysław Karłowicz, syn zmarłego, odziedziczył po ojcu to zamiłowanie i specyalnie oddał się muzyce, słynie też jako wybitny kompozytor.

Co do prac Jana Karłowicza, dotyczących muzyki, to zaznaczymy przekład Richtera „Zasad, harmonii" oraz oryginalny „Projekt nowego zamiłowania nut muzycznych drukowany częściowo w warszawskim *„Echu muzycznem."*

Nauka polska przez śmierć J. Karłowicza poniosła ciężką stratę

A. L.

POŻEGNANIE.

(Wspomnienie z 1863 roku.)

W mazowieckich pól równinie
Stał przy wiosce biały dwór.
U stóp — Wisła szarfą płynie,
A tam dalej w lewo, w prawo,
Słońce rzuca łunę krwawą
Na odwiecznych jodeł bór.

Po za dworem, tuż u wzgórza,
Czarny krzyż się z chmur wynurza
I ramieniem garnie świat,
I zgromadza pod swe cienie
Wiejskie chaty, pól przestrzenie,
Bo krzyż — strażnik pól i chat!

Pod nim konik siwy parska
W zieleniącą rwiąc się błoń;
A przy koniu stoi młodzian...
Strój bojowy, mina dziarska...
Ściska lubej śnieżną dłoń,
W blask jej modrych oczów odzian!

I tak chwilę cicho stali.
U stóp zwiędłe wianki róż,
Po nad nimi niebo... w dali —
Ciemna przyszłość walk i burz!

Ona blada, smutna, wzdycha,
A łzą modli i uściskiem
Pół otwartych ust koralu
I czarownych źrenic błyskiem:
„Zostań! zostań! — mówi z cicha —
Chwila troski, chwila żalu,
A tam czeka Moskal wróg!
Mam przeczucie złe dla ciebie,
Wiesz? — przeczucia zsyła Bóg!
A patrz! jak tam chmurno w niebie;"
— I znów pieści białą dłonią
I czaruje ócz błękitem...

Lecz on odparł nie złamany:
„Nie! do koła brzmią kajdany,
Kraj nad nieszczęść stoi tonią,
Wróg mu krwawą zadał bliznę!
Prawda, żeś mi szczęścia szczytem,
Z tobą bujać w snów błękicie...

Lecz aniele! wyżej cenię
Wolność, sławę i ojczyznę
Nad twych modrych ócz promienie!
Nad rozkoszne z tobą życie!...

Miłość wabi swymi wdzięki,
Pieszczotliwą daje dłoń,
I czarownej ton piosenki,
Lecz mnie w piersi gra od dziecka
Nasza nuta mazowiecka,
Co za miłość daje broń!
Ale... przysiąż mi dziewczyno,
Że w twem sercu nie zaginą
Przypomnienia zbiegłych dni...
Widzisz, z takiem przypomnieniem
Lżej się żyje krwią, zniszczeniem,
A w mogile — lżej się śpi!!....

. . . .

I wesoło brzęknął w broń.
„Hej — tam z wiarą marsz na boje,
Niecierpliwy czeka koń,
I rycerska dziatwa stwarza
Przyszłej krwawej uczty dnie..."
— Już odjeżdża... Lubej dłoń
Ściska w swojej, a powtarza:
„Aniołeczko! serce moje,
Żegnam! żegnam — kochaj mnie..."

. . . .

I pojechał... A ze wzgórza
Czarny krzyż się z chmur wynurza,
Wiatr pieśń smętną na nim gra,
A pod krzyżem dziewczę stało,

Obie rączki załamało,
W oczach brylant żalu — łza!

. . . .

I nie wrócił... gdzieś tam w borze
Siwy konik ziemię orze,
Nad zabitym smętno rży.
A tam dalej, w lewo — w prawo
Słońce rzuca łunę krwawą,
I zachodząc w chmurach drży...

. . . .

Z dwojga istot cóż zostało?...
Srogi zawód, ból, krew, łzy —
I męczarni może piętna!
Nad tem — anioł szatę białą
Roztoczył nad wspomnień ślub
W ciemnym borze — nad mogiłą!...
A w Mazowszu — co przybyło?

. . . .

Jedna więcej Polka smętna....
Potem — jeden więcej grób!!....

Feliks Kozubowski.

Nieudane konkury.

Ze wspomnień o Aleksandrze Obrenowiczu.

„Aleksandra serbskiego, zabiła jego własna żona. Życiem przypłacił pogardę i urazy parweniuszki, która pod ciężarem królewskiej korony, nie potrafiła zapomnieć przykrości wyrządzonej pani Maszynowej.‟

Do takiego wyniku swoich refleksyi nad strasznym mordem w Belgradzie doszedłszy, tak dalej pisze w paryzkim „Journal'u‟ Hugo Le Roux, znany autor francuski i jeden z fejletonistów tego dziennika:

„Mało komu w Europie znanym jest fakt, że król Aleksander I. marzył lat temu kilka o innym, zaszczytniejszym związku, który, gdyby przeznaczenie nie było inaczej zrządziło, byłby z pewnością umocnił na tronie serbskim dynastyę Obrenowiczów. Marzył mianowicie o Maryi Magdalenie, uroczej córce królestwa greckich — a okoliczności, wśród których zamiar swój zapragnął do skutku doprowadzić i sposób w jaki wystąpił w roli konkurenta, świadczą nietylko, że Aleksander I. nie miał szczęścia, ale także że nie wpojono w niego nawet najelementarniejszych zasad dobrego wychowania i przyzwoitości.‟

W czasie opisywanego przez pana Le Roux zdarzenia, księżniczka Marya Magdalena miała lat dwadzieścia. Był to kwiecień r. 1896, ów kwiecień, pamiętny radosnemi uniesieniami Greków z powodu wskrzeszenia Igrzysk olimpijskich w Atenach. Dwór grecki święcił wówczas podwójną uroczystość. Nowożytni Hellenowie, za zgodą wszystkich w Europie i poza nią krajów, wyznaczyli szybkobiegaczom z całego świata spotkanie na polach Maratońskich, a para królewska pod świeżem jeszcze wrażeniem śmierci uwielbianej przez Ateńczyków córki, zgodziła się na oddanie ręki, jedynaczki już tylko, Maryi Magdaleny wielkiemu księciu rosyjskiemu Piotrowi.

„Przybyłem do Aten — snuje Le Roux wątek swego opowiadania — w sam dzień publicznie ogłoszonych zaręczyn młodej pary. Wieczorem tego dnia odbył się wielki obiad w pałacu królewskim na cześć narzeczonych. Król Jerzy i mnie raczył zaszczycić swojem zaproszeniem.

Cieszyłem się tym szczęśliwym zbiegiem okoliczności, kiedy tego samego dnia rozeszła się naraz alarmująca po mieście wiadomość, że król serbski, którego nikt nie zapraszał i który wcale się nie zapowiedział, przybył do Aten w otoczeniu licznej, złotem lśniącej świty. Wylądowawszy, wyjawił cel swoich odwiedzin: przybywał prosić króla Jerzego o rękę jego córki Maryi Magdaleny. Podobne zdarzenie w Paryżu możeby przeszło niespostrzeżenie, nie zwróconoby uwagi na zamieszanie, jakie musiało spowodować. Ale Ateny są tylko wielkiem miastem prowincyonalnem i pałac też królewski, mieszkanie adjutanta królewskiego i przybocznego sekretarza były tego dnia w formalnem oblężeniu, bo każdy chciał się czegoś o tej osobliwej wizycie dowiedzieć. A przebieg tej wizyty był taki, jaki musiał być: niesłychanie zabawny. Król Aleksander był, naturalnie, gościem króla Jerzego. Zapowiedzianego obiadu nie odwołano, tylko nie narzeczeni już, ale niefortunny konkurent, jak tego wymagała etykieta, był bohaterem obiadu. Smutny bohater! Siedziałem, przypominam sobie, obok hr. Brevern de la Gardie, dzisiejszego drugiego sekretarza ambasady rosyjskiej w Paryżu, który towarzyszył wielkiemu księciu rosyjskiemu w jego szczęśliwej podróży do Aten. Z trudnością wstrzymywaliśmy się wszyscy od śmiechu; przemykał się po wszystkich twarzach, ukazywał się nawet w dwóch kącikach ust księżniczki Maryi, którą posadzono obok narzeczonego; rozjaśniał widocznie hamowaną wesołością twarze braci księżniczki.

Królowa, której serce zaręczyny ostatniej córki, tak bliskie śmierci ukochanego dziecka, zbyt wielkiem przejmowały wzruszeniem, nie miała siły uczestniczyć w tej komedyi i upozorowała swoją nieobecność lekkiem przeziębieniem się na Igrzyskach i wcale nie wychodziła z swych apartamentów.

Najwięcej ambarasującym dla wszystkich momentem była pora toastów. Zrobiła się nagle straszna cisza, kiedy król Jerzy wstał, ażeby wznieść toast na zdrowie „swego przyjaciela i kuzyna, króla Serbii‟. Król nie wspomniał naturalnie o szczęśliwem natchnieniu, które zaprowadziło Aleksandra I. na drogę do Aten, ażeby być świadkiem uroczystości rodzinnej. Ale są słowa, które same przez się wypowiadają się w milczeniu. Te niewypowiedziane słowa wszystkim brzmiały w uszach. I nigdy nie widziałem, piękniejszego heroizmu w respekcie dla etykiety: żaden z gości nie wybuchnął śmiechem. Nawet wtedy nie, kiedy nieszczęsny król Serbii, podniósłszy się z kolei dziękował królowi Grecyi i toastował „na wyzdrowienie królowej,‟ i na„ zdrowie zaręczonej pary‟. Ale nie na tem był koniec jego męczarni. Po obiedzie musiał, wedle tradycyi, odbyć „cercle‟ i zaszczycić każdą z zupełnie nieznanych sobie osób jakiemś słowem łaskawem. Z zadania tego, co prawda, wywiązał się bardzo źle. Na ustach miał wymuszony uśmiech, który z początku czynił go śmiesznym, pod koniec zaś „cercle'u‟ sprawiał przykre wrażenie.

Głowa, którą nosił zwykle cokolwiek pochyloną naprzód, jakby oddając się naprężeniu całej jego postaci, uporczywym wysiłkom jego mięśni, natężeniu woli, co się czuło, patrząc na jego niskie czoło i na oczy po za szkłami krótkowidza, ta głowa bynajmnej nie zdradzająca inteligencyi, zanadto czarna, zanadto krótko ostrzyżona, występowała więcej aniżeli kiedykolwiek z jego ramion. Na ludzi, do których przemawiał, formalnie nie śmiał spojrzeć.

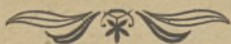
Inny jeszcze szczegół czynił go komicznym. Miał na sobie suto złotem wyszywany mundnr, stanowczo zbyt złoty, który z pewnością nie był dla niego krajany, tylko na prędce przerobiony, odpowiednio do jego postaci. Jakiś złośliwy żartowniś opowiadał, że Aleksander I. na wiadomość, że wielki książę rosyjski zamierza prosić o rękę księżniczki Maryi Magdaleny, wsiadł prędko do pociągu.

Nie miał nadziei, że oczaruje młodą dziewczynę urokiem swojej smutnej postaci, liczył jednak na to, że olśni ją wspaniałością ubrania, które Milan niegdyś zamówił dla siebie w Paryżu. a które zostało wysłane już po jego abdykacyi. Ojciec i syn nie byli jednako zbudowani. Musiano zacieśnić szwy, wskutek czego powykrzywiały się złocone wyszycia i hafty. Wersya ta—prawdziwa czy fałszyfa — ośmieszyła do

reszty niefortunnego konkurenta. Zrozumiał, że nie należało mu dłużej siedzieć w Atenach. Pokazał się na drugi dzień na chwilę na Igrzyskach, ażeby odjąć swemu nagłemu wyjazdowi cechę zbyt sromotnej rejterady i znikł bez wszelkiej pompy i eskorty, bez ciekawości tłumów, zajętych czem innem."

Tak więc wtedy, kiedy wieńczono maratońskiego zwycięzcę, kiedy wznoszono entuzyastyczne okrzyki na cześć szczęściem promieniejącej pary narzeczonych, biedny, skonfundowany król serbski zdą·ał z powrotem ku swemu przeznaczeniu...

Kl.



Zabójstwo ks. Elżbiety Tarakanowej

w 1777 roku.

Najmłodszem z trzech dzieci, które carowa miała z kochankiem swoim hetmanem Aleksym Razumowskim, była córka — Elżbieta, której dano nazwisko Tarakanowej. Gdzie przepędziła księżniczka dziecinne lata swoje i gdzie otrzymała pierwsze wychowanie, niewiadomo. Według niektórych wiadomości wychowano ją w Persji, zkąd przywieziono potem do Raguzy.

Niewiadomo także, zkąd dowiedział się ks. Karol Radziwiłł o istnieniu tego dziecka. Nienawidząc Katarzyny za złe, które ta wyrządzała Polsce, za pomocą tego dziecka książę miał nadzieję zwalić z tronu carowę, której panowanie stało się nie do opisania ciężkiem dla moskiewskiego ludu. Próba Pugaczewa, prostego kozaka, który o mało nie zwalił z tronu carowę, dawała mu nadzieję dopięcia tego celu.

Wypełniając plan swój Radziwiłł podkupił otaczających księżniczkę ludzi i w 1767 r. uwiózł ją do Rzymu. Elżbieta miała wtedy 12 lat dopiero.

Dowiedziawszy się o zamiarach Radziwiłła, Katarzyna użyła należnych środków ostrożności. Korzystając z tego, że Radziwiłł był przywódzcą konfederacji, carowa kazała konfiskować jego dobra tak, że księciu pozostały tylko te środki, które wywiózł z ojczyzny w złocie, srebrze i w drogich kamieniach.

Lecz środki te wkrótce wyczerpały się. Niemożność żyć w obcym kraju bez pieniędzy zmusiła księcia po kilku latach walki z biedą do powrotu do Polski, pozostawiając ks. Elżbietę w Rzymie pod opieką starej guwernantki w stanie blizkim nędzy. Katarzyna obiecała wrócić wszystkie dobra Radziwiłłowi, jeżeli przywiezie księżniczkę do Moskwy. Radziwiłł nie zgodził się na to, lecz obiecał zostawić Elżbietę jej losowi i za to otrzymał swe dobra napowrót.

Lękając się córki carowej Elżbiety, Katarzyna II. posłała do Włoch kochanka swego Orłowa, z poleceniem zgubić pretendentkę tronu. Orłow udał się do Liworny w 1773 r. i natychmiast rozstawił sieci. Włoch Dziureppa Ribas, oficer moskiewskiej floty (potem vice-admirał czarnomorskiej), przybył do Rzymu, wyszukał mieszkanie księżniczki, przedstawił się dwom kobietom jako rodak, z całej duszy sympatyzujący smutnemu położeniu biednej księżniczki, urodzonej dla tronu, zaproponował jej pomoc swoją, a korzystając z niedostatku i niedoświadczenia tych kobiet, wszedł w największą z niemi przyjaźń i zyskał zupełne zaufanie.

Gdy już był pewny, że nie wzbudzi podejrzenia, Ribas odkrył przed księżniczką, że znajduje się we Włoszech hr. Aleksy Orłow, proponuje jej tron moskiewski, objaśniając, że cała Rosja niezadowolona z Katarzyny, i że hr. Orłow, nienawidząc carowej za jej niewdzięczność i przewrotność, zrobi w Rosji rewolucję i całemi siłami będzie popierać jej prawa, jeżeli tylko księżniczka przyjmie rękę tego człowieka.

Zbyt świetne propozycje powinny były odkryć oczy Elżbiecie i zrobić ją cokolwiek ostróżniejszą; lecz księżniczka, która miała wtedy tylko 18 lat, i której życie uśmiechało się wróżąc najpiękniejsze nadzieje, zgodziła się na propozycję Ribasa.

Wkrótce przybył do Rzymu Orłów i przedstawił się księżniczce. W Rzymie wiedziano o wysokiem stanowisku, które zajmował ten człowiek; wiedziano i o jego krwawej przeszłości, niektóre więc przyjaźne osoby ostrzegały niedoświadczonych przed niebezpieczeństwem — przed zdradą. Orłow otoczywszy księżniczkę szpiegami swymi, dowiedział się o radach, które jej dawano i widząc, że działanie na ambicję młodej dziewczyny nie doprowadzi go do celu, postanowił uderzyć w jej serce i zaczął udawać szalenie zakochanego. Wybieg udał się wyśmienicie. Młoda księżniczka, rezonując tak, jak się rezonuje w 18 roku, nie chciała już wierzyć w ostrzeżenia i zakochana w pięknym Orłowie widziała wszystko jego oczami. Wkrótce Orłow zaproponował jej połączyć się węzłem małżeńskim. Wychowana przez Radziwiłła w odosobnieniu, księżniczka otrzymała jednak odpowiednią edukację. Ślub z Orłowym, według jej zdania, usuwał zupełnie myśl o podstępie.

Biedna, mało znała ludzi! Jej i na myśl nie przychodziło, że ten co otruł i zadusił Piotra III, nie cofnie się przed oszukaniem i zhańbieniem córki carowej Elżbiety!

Udając, że chce koniecznie, żeby obrządek był wypełniony według przepisów greckiego kościoła, Orłów podstawił przebranych za popów ludzi, którzy odegrali doskonale kościelną komedję.

Stawszy się mężem Elżbiety, pod pretekstem, że będąc w Rzymie ciągle na oku różnych posłów cudzoziemskich którzy szpiegują każdy krok ich, nie mogą się spodziewać chwili stosownej dla zrobienia powstania, radził Orłow pojechać do Pizy. Elżbieta zgodziła się natychmiast.

W Pizie najęto prześliczny pałac, młodą kobietę otoczono przepychem i dworem, całą duszą oddanym zamiarom Orłowa. Ludzie ci okazując największe uszanowanie Elżbiecie, nie spuszczali ją z oka i nie pozwalali nikomu zbliżyć się do niej, lękając się, żeby ktokolwiek nie odkrył całej okropnej intrygi. Zawsze, gdy Tarakanowa wychodziła na spacer, lub wyjeżdżała do teatru, Orłow jej asystował, otaczając miłością i szacunkiem.

Tymczasem flota moskiewska pod dowództwem kontr-admirała Grejga zawinęła do Liwornskiego portu. Orłow uwiadomił Elżbietę, że musi pojechać do tego miasta dla obaczenia eskadry, która znajdowała się pod jego głównem dowództwem. Zbrodzień z takiem uniesieniem opisywał piękność okrętów, piękność miasta i portu, że z łatwością namówił młodą swoją żonę pojechać z nim razem dla obaczenia tych cudów.

Po przyjeździe do Liworny zatrzymano się w domu angielskiego konzula Deck, który należał do intrygi, i który ich przyjął z nadzwyczajną okazałością *). Żony Decka i admirała Grejga przedstawiły się córce Elżbiety i nie odstępowały od niej ani na krok jeden, okazując największy szacunek dla tej, która według słów ich miała zająć jeden z pierwszych tronów na świecie. Ludność Liworny, dowiedziawszy się o przybyciu do miasta księżniczki, z radością witała ją wszędzie, chwaląc jej piękność i niewinność; w teatrach oczy wszystkich były na nią zwrócone. Zdawało się, że wszyscy zmówili się dla oszukania biednej ofiary.

Przepędziwszy kilka dni w Liwornie, wśród ciągłych zabaw zaproponowano księżnie odwiedzić flotę. Elżbieta odurzona szczęściem przyjęła propozycję z radością.

Po obiedzie cała kompanja pojechała na brzeg morski, gdzie ich czekały trzy przepyszne łódki. W pierwszej usiadła Elżbieta, konzul angielski z żo-

*) W 1774 r. Katarzyna za tę usługę nagrodziła Decka orderem św. Anny I klasy.

ną i żona Grejga, w drugiej Orłow i Grejg, w trzeciej moskiewscy i angielscy oficerowie, znajdujący się na służbie w moskiewskiej flocie. Łódki odbijały od brzegu wobec zebrania tłumnego ludu, witane muzyką, armatniemi strzałami i okrzykiem „hurra‟, którym zwykle wojska witają carów.

Po przybyciu do admiralskiego okrętu spuszczono bogato ozdobione krzesło, używane dla wnaszania panujących. Księżna nie posiadała się z radości od tylu honorów i od okazywanego jej szacunku.

Lecz zaledwie weszła nieszczęśliwa na okręt, zasłona opadła z oczu. Natychmiast włożono kajdany na ręce jej i nogi i spuszczono na spód okrętu. Naprożno wzywała biedna pomocy Orłowa, nazywając go małżonkiem swoim, naprożno na klęczkach prosiła użalić się nad nią, barbarzyńca nie raczył jej nawet odpowiedzieć.

Nazajutrz z rana okręt podjął kotwicę i odpłynął do Rosji. Po przyjeździe do Petersburga, nieszczęśliwa ofiara Katarzyny II. została wrzuconą do kazamaty w petersburskiej fortecy, gdzie się z nią obchodzono w najokropniejszy sposób.

W więzieniu 1775 r. Elżbieta powiła syna Aleksego, któremu Katarzyna pozwoliła nazywać się imieniem ojca — Orłowym *).

W 1777 r. w czasie powodzi woda Newy wystąpiła z brzegów i zalała więzienie nieszczęśliwej kobiety. Dozorcy — zapomnieli o córce carowej Elżbiety.

J. S.

*) W 1793 roku syn Elżbiety był jenerał-majorem. Umarł w 1820 roku, zostawiwszy kilku synów.

Tęskniąca.

Ach, tak długo czekać trzeba,
Straszne to czekanie!
Gdyby Pan Bóg zesłał z nieba
Już raz to kochanie...

Powiadają ludzie starzy,
Że kochać nie trudno —
Ależ w sercu krew mnie parzy,
Ależ czekać nudno.

Głowa moja ogniem płonie,
W piersiach tchu brakuje —
Myśl daleko biega, tonie,
Nic się nie szykuje...

Chcę zaśpiewać — więc wesoło
Głos do piosnki stroję,
Lecz tak smutno na około...
Własnych słów się boję...

Więc chcę płakać — łzy nie lecą...
Ach! straszne czekanie...
W oczach gwiazdy ognia świecą —
Gdybyż to kochanie!...

Mieczysław Dzikowski.

Trzeci kontredans.

Czekała, lecz nikt nie dostrzegł śladu zaniepokojenia. Tęskniła, lecz formy towarzyskie, pozorną wesołością, schroniły ją od natrętnych zapytań.

— Adelo, z kim tańczysz trzeciego kontredansa, zapytała matka, nie bez trudu przeszedłszy wśród tłumu balowego, na drugą stronę salonu.

Odpowiedź była konieczną, lecz jak ją przez łzy wyrazić? — Matka, z półsłówka odgadnie, jej fałszu mówić nie wolno.

Dyplomatyczne poprawienie ponsowych maków na czarnej grenadinowej sukni i błagalne spojrzenie Adeli starczyło, by o nic więcej nie pytać.

* * *

Ostatnie pary przy cichnącej muzyce walca, przebiegały salę. Służba w drzwiach bocznych czekała, by na srebrnych tacach roznieść chłodniki.

Kobiety lubią walca, lecz nie wszystkie tańczą dla tańca... a choć większość utrzymuje, że powierzchowność dansera jest im obojętna... statystyczne dane stwierdzają, że urodziwy młodzieniec zawsze ma pierwszeństwo w wyborze — a on, czyż z oparcia ręki na swem ramieniu, nie ocenia stopnia życzliwości, dającej mu miarę, jak długo tańczyć wypada? Wiadomo zresztą, że jedna i ta sama danserka umie być lekką jak sylfida, gdy ją uczucie ogarnie, lub toczyć się jak statua, gdy dusza stygnąć zaczyna. Odprowadzona na miejsce, daje, lub nie daje wyrazem oczu poznać, czy wolno powrócić... lub zginąć w tłumie skoczków salonowych.

* * *

Wszystko jaśniało przepychem balowym. Tak zwane *rond* czyli wieniec tancerzy obojej płci, pięknie się oku przedstawiał, a damy lubowały się świetnością swej cery, szczęśliwie kontrastującej z posępną barwą czarnych fraków.

Doniosły organ dyrygującego, wygłosił trzeciego kontredansa; wesoły szmer i rozbawione śmiechy, ocknęły na wpół senne matrony, czarna tylko grenadinowa sukienka, chciała być niewidzianą w zagłębieniu okna, i gdy dbała o powodzenie balu gospodyni, obchodziła salon, by się upewnić, czy wszystkie damy mają danserów, Adela czuła, że ją pytanie nie minie — przejście do buduaru i oglądanie albumu z fotografiami, groziło prezentacyą pierwszego lepszego panicza, z żalem opuszczającego papierosa, pod naciskiem nalegań gospodyni — a tańczyć z kim innym, i to trzeciego kontredansa, byłoby profanacyą! — Wstała więc, gdyż dolna część jej sukni, technicznie zwana *balejezą*, napotkawszy zawadę sąsiedniego krzesła, lub może *przypadkiem*... nadeptana obcasikiem, nadmiernie się przydłużyła, wskutek czego, przejście do garderoby okazało się koniecznem.

Ochrypły dyrektor tańców, wygłosił porządek następnej figury, a gdy matka wraz z córką były już w drugim pokoju — ktoś silnie do drzwi wchodowych zadzwonił.

* * *

Gdyby magnetyzm nie mylił, Adela byłaby przeczuła, że dwoje oczu szuka jej wśród balowego gwaru — ona się tego nie domyślała — przeciwnie, fantastyczne widma zbolałej duszy, zatruwały ją jadem zazdrości.

— Przyrzekł, nie przyszedł... więc jest kim innym zajęty... „ja nim pogardzam‟ nawet było wymówione.... cóż kiedy serduszko jak biło tak biło.

Zostaw mnie samą, matko, rzekła, gdy suknia pod zręczną igłą garderobiany odzyskała pierwotną całość, — tutaj tak dobrze, tak chłodno, odpocznę chwilkę.

Tym odpoczynkiem był nadmiar łez niknących w sali balowej, w bieluchnym puchu wachlarza. Zdala od rozbawionego gwaru, spokój, ulgę jej przynosił, nic ciszy nie przerwało, prócz szelestu liści sztucznych kwiatów, poruszanych przyśpieszonym oddechem jej piersi. Był to jedyny ślad życia, gdyż cała postać tkwiła bezwładnie w aksamitnym krześle — biała rączka odwrócona różową dłonią dumnie spoczywała na krawędzi, a rozdarta długa rękawiczka leżała na ziemi.

* * *

Zajęta w sąsiednich pokojach służba, przygotowaniem kolacyi, ciągłem otwieraniem drzwi, ułatwiała dźwiękom muzycznym wtargnięcie do świątyni smutku; ten stan rzeczy drażnił Adelę, jak radosne okrzyki barbarzyńskiej hordy, pastwiącej się nad swą ofiarą; zasłoniła też skroń ręką, raz jeszcze podniosła główkę na odgłos bijącego zegaru i zwiesiła ją na ramię jak zziębnięta poranną rosą azalia.

Po chwili, zupełna nastąpiła cisza, ponsowy nawet bukiecik maków, przestał się poruszać na jej piersi.

* * *

Po miękim dywanie dwie postacie zbliżały się ku zbolałej męczenniczce miłości; był to urodziwy młodzieniec, prowadzący opartą na swem ramieniu poważną damę. Stanęli na progu, naradzając się.

— Zasnęła, nie przerywajmy jej, rzekła dama, lecz daremne były uwagi, młodzian szybkim ruchem już klęczał przy krześle i gorącemi pocałunkami ogrzewał zwieszoną rączkę. Adela nie zasnęła jeszcze; długiem milczącem spojrzeniem wpatrywała się w przybyłego, dotykając jego czarnych włosów, by się upewnić, ,czy ją wzrok nie myli, a matka stojąca obok, zrozumiała, o co chodzi...

Czylan.



Miłość motyla.

Latał motyl młody, żwawy,
Z kwiatuszka na kwiatek —
Tu go nęcił kwiat jaskrawy,
Tam lilia, bławatek.

Więc swawolnik wśród pieszczoty
Ssał słodycz z kielicha —
Życie szło mu jak sen złoty,
Jak wiosny noc cicha.

Lecz raz ujrzał w swej wędrówce
Różyczki kwiat cudny,
W perłach rosy na jej główce
Lśnił płomień ułudny...

A choć barwne swe jagody
Chowała w liść skromnie —
Woń przecudna, czar urody,
Wołały: „Chodź do mnie!“

Spojrzał motyl w liczko krasne,
Miłością zapłonął —
Strącił skrzydłem perły jasne
I w listkach utonął —

Próżno inny piękny kwiatek
Wychyla pstrą głowę —
Motyl stale, choć niestatek,
Uwielbiał królowę.

Przy niej igrał wciąż wesoło
I pieścił spojrzeniem
I osłaniał skrzydłem czoło
Przed słońca promieniem.

A różyczka? — Przyjmowała,
Co niosła jej chwila —
Może nawet pokochała
Natręta — motyla.

Trudno czytać myśli z lica —
Bóg je znał i ona...
Lecz milczała krasawica,
Była... zaręczona!...

Wiotki powój ją owinął
Miłosnem ramieniem,
I wytrwale w górę płynął
Za liczka promieniem.

W końcu zajrzał w oczka róży,
Wnet kibić i głowę
Wziął w ramiona, by od burzy
Osłaniać królowę.

Przed wiatrami liczko chronił
I wiosną i latem,
I świat cały jej zasłonił!
Chciał sam być jej światem...

A gdy powój stał u celu
Wielbiciel skrzydlaty,
Motyl nie był na weselu,
W dalekie gnał światy!...

Róża, czy szczęśliwą była? —
Mówili pasterze,
Że listeczki wciąż roniła —
Więc w szczęście nie wierzę.

A motylek znalazł w świecie
Różyczki kwiat nowy?
Spokój? szczęście?... Żartujecie...
Nie ma o tem mowy...

Szczęsny Z.



Jarmarkowicze.

(Szkic ze wsi.)

W chałupie Rocha Pędziwiatra panuje mrok, rozświetlany błyskami dopalającej się gromnicy, przy dogorywającej żonie Rocha, Agacie.

Słabowało biedne kobiecisko przez pół roku, opierało się chorobie jak mogło, aż ci ją bolenie powaliło na łoże, z którego ją teraz kumy w kąt izby, na prostą słomę, zwlekły gwoli lżejszego skonania.

Starowny Roch przysposobił zawczasu trumnę, przyszykował jadła i picia dla kmotrów i sąsiadów na poczęstunek pośmiertny i — czekał, spoglądając markotnie na dogasającą — gromnicę.

— Grzebie się chudziątko — myślał — a tu światło do cna się wypali...

— Może jej moc Boska przeinaczy — szeptały kumy, kręcąc się po izbie.

Roch się poruszył i mruknął niecierpliwie:

— Nie depcta — że jej po piętach, niech sama, w spokojności dech wypuści...

— Ciewy! opiekun! — odezwała się znachorka, odgrzewając leki na kominie.

Roch, dotknięty na honorze, już miał wybuchnąć, gdy rozległo się za oknem jakieś skrobanie. Wstał więc z ławy i wyszedł na próg.

— To wy kmotrze? — spytał, rozpatrując się w ciemnościach.

— Jakże tam z waszą? kuniec już? — usłyszał w odpowiedzi.

— Ba! — westchnął Roch.

— Widzi mi się, nic z naszego jarmarku nie będzie, szkoda, colko wieś zbiro się na pojutrze do miasta — ciągnął kum.

— Ciarki chodzą mi już po wątrobie z frasunku, że jechać razem nimogę — biadał Roch.

— Straśne mata korowody — westchnął kum.

— Ano, babska się kręcą, ona rzuca ci ocyma, a ciekawości na tamten świat nijakiej nie okazuje.

— Jakby tak, na to mówiący — prawił kum — przyszła śmierć w nocy, to rankiem możnaby z ciałem do kościoła, potem zaś uprawić się z poczęstunkiem i — ju!

— Oczywiście — przytaknął kumowi Roch i zamyślił się głęboko.

— No, ostańcie z Bogiem! żol mi was, bo — jarmarek będzie setny!

— Ady-że już nie godejcie! toć mi to marudztwo babskie na wnątrzu coś przekręco! — wybuchnął markotnie Roch i cofnął się do chałupy.

— Cichojcie — trąciły go tam kumy — Jagata nogami już na śmierć odkazuje...

— Ej-że? — wyrwało się z ust Rocha.

— Wyńdzcie-se kaj niebądź i ostawcie nas z nią razem.

Chłop nacisnął magierę na łeb i wyszedł spać do stajni.

Nazajutrz o brzasku dnia wyrychtował wóz i wszedł do chałupy, żeby nieboszczkę ułożyć w trumnie i wywieźć ją do kościoła.

Zastąpiły mu kumy:

— Owarjowaliście? dyć Jagata jeszcze dycha...

— To nic — szepnął — ona w drodze — dońdzie...

Marjusz.



Z puszczy Białowieskiej.

Napisał

Henryk Sienkiewicz.

(Dokończenie.)

W samej wsi Białowieża jest jeszcze wyraźniejszy ślad przeszłości. Wznosi się tam czworokątny słup kamienny, na którym czytasz napis, że Najjaśniejsze państwo, król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami, polowali w puszczy i zabili 42 żubrów, trzynaście łosiów, dwie sarny i t. d. Są też wyryte i nazwiska urzędników, rozmaitych dygnitarzy litewskich i koronnych, oraz gości saskich. Podana także waga największych sztuk ubitych.

Białowieża leży w samym środku puszczy; jestto ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości,

zamożna, zamieszkała przez pomieszaną ludność mazurów, litwinów i rusinów. Nazwę swą zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która kiedyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — nikt nie pamięta — i o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych. Gloger który ich poszukiwał, nic nie odkrył. Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania, o czem niżej przyjdzie mi mówić, tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie, w porównianiu z wielokolorową cerkwią, wzniesioną niedawno dla eksunijatów. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, trzymany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanemi słupami i mnóstwem koronkowych ozdób, rzniętych w drzewie. W pawilonie ma być księga zawierająca malowane obrazy dawnych niefortunnych polowań, na których strzelcy, uciekając przed żubrami, zaczepiają się za wyloty od kontuszów o drzewa.

Sprzeciwia się to tradycyi o dawnych, olbrzymiej siły łowcach, którzy, uchwyciwszy żubra za rogi, wywodzili go z ostępu.

Dzisiejsze polowania odbywają się prawie wyłącznie w zwierzyńcu, w którym łatwiej znaleść stada. Rozumie się także, że obecnie polowania z dzisiejszą bronią palną przedstawiają daleko mniej niebezpieczeństwa, niż dawniejsze, zwłaszcza, że na wielkich łowach używają zwykle kul pękających.

Cała wieś Białowieża jestto polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska, zwanego Browsk. Być może, że nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszczę. Na Narwi, Narewce, Liśnie, Łętowni, oraz na strumieniach leśnych, były liczne żeremia. Obecnie i pamięć o nich zaginęła. Weszło teraz w modę zrzucać wszystko na złe i nieopatrzne gospodarstwo dawnych czasów, a jednak dawne prawa polskie opiekowały się bobrem nader starannie i stanowczo. Wedle statutu litewskego, kto miał choćby w cudzej ziemi kupione gony bobrowe, mógł żądać, by zwierzątek nie płoszono dla podorywki lub sianożęcia, gdyż bóbr straszony „traci przemysł, który społeczeństwu bobrów czyni go pożytecznym.“. Puszczańske żeremia były najliczniej zamieszkałe, a gony bogate i w zapasy obfite. Nie było też sławniejszych skór, jak białowieskie i te płaciły się najdrożej. Obecnie słyszałem, że bobry trafiają się na Podlesiu, ale rzadko.

Administracya puszczy zasłużyłaby się prawdziwie ,gdyby postarała się o sprowadzenie tych zwierząt, o osadzenie ich i rozmnożenie napowrót po rzekach i strumieniach. Trzebaby tylko, aby dzisiejsze prawo otoczyło je taką opieką, jak dawne polskie i litewskie.

W straże Browską nie zapuszczaliśmy się zbyt głęboko, gdyż brak czasu stanął nam na zawadzie. Jest ona w znacznej części, przynajmniej z brzegu, pokryta czarnym borem. Nie widziałem tam także owych cmentarzysk, na których sterczą uschnięte i ogołocone z kory i liści sosny. Starodrzew wyniosły, ale zdrowy, jędrny, Igliwie obfite, tak, że dal nie jest różnobarwna, jak w innych okolicach puszczy, ale jednostajna, ciemna. Pod spodem czysto; knieja nie podszyta, powietrze przesycone balsamem żywicznym. Jestto jedna z najpiękniejszych straży. Musi być tylko strzeżona pilniej od innych od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Sosna ma mniej wilgoci, a więcej żywicy od innych drzew i sosny też w razie wypadku zapalają się jedna od drugiej, jak świece. Pod tym względem porządek zachowywany w puszczy wiele przedstawia do życzenia i nagany. Rozkładanie ognia jest surowo wzbronione, ale pilnowane słabo. Wracając z Zamczyska widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie przeloty, któremi strzelał wysoko w górę. Poszedł on także na kilkanaście stóp wokoło i zatrzymał się dopiero u granicy mchów wilgotnych, któremi, na szczęście, miejscowość była otoczona. Odjechawszy, widzieliśmy jeszcze długo połyskującą wśród mroku łunę, jakoby kuźni, w lesie ukrytej.

Pożar jest najstraszniejszą klęską, jaka się tam zdarzyć może. W 1811 roku tłukł puszczę przez trzy miesiące, od czerwca do października. Ratunek wszelki nie zdał się na nic. Ostępy, pokryte drzewem iglastem, zapalały się od żaru i skier, nim płomień do nich doszedł. Ludzie założyli w końcu ręce i czekali zmiłowania bożego, które też przyszło nareszcie pod postacią potoków deszczu. Ogień rozkładają najczęściej dzieci pasące bydło, bo starsi tego nie czynią. Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny.

Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony rzecby można od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycyi i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud to przy tem, który nie znał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli. Wsie puszczańskie zamieszkane są przez litwinów, rusinów i mazurów. Ci ostatni, sprowadzeni przed wiekami dla wytapiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsie całkowicie, w innych pomieszani są z Litwą i Rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakie warunki bytu, wyrodziły i cechy jednakie w mieszkańcach, tak, że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych nie wielu pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie zamyślone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne, a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych i udochowionym wyrazie. Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce, mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła, jak tylko mogą najczęściej. Mieszkańcy Bud są wszyscy katolicy, mieszkańcy Białowieży po większej części. Nie brak tam jednakże i eksunitów. Ludność Teremissów, Orzechowa, Hurynowa, Skopowa, Narewki, Mielnika ,Niemierzy, Tuszelmy etc., jest przeważnie mazurska. Puszczę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsie na zewnątrz niej, spytaliśmy powożącego nas budnika: czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi.

— Za nic, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym, piszczonym głosem.

— W puszczy najlepiej; a tam tak golo... widno.... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie. Ach! ach!

Jeżeli o litwinach mówią, że przeciągają, to przeciąganie to w puszczy dochodzi u mazurów i nie-mazurów do takiego stopnia, że się uszom nie chce wierzyć. Między innemi opowiadaliśmy naszemu budnikowi o jubileuszu częstochowskim. Słuchając, wznosił swoje śliczne błękitne oczy do góry i powtarzał z zachwytem: „Ach Boże! Boże!“ — ale wymawiał: Ach Buuoooże! Buuuoooże! Jestto już nie przeciąganie, ale poprostu śpiew.

Na zapytanie czy: umie czytać, odpowiedział:

— Panie! u nas ani jednego niema we wsi, coby się z książki nie modlił.

Jestto nawet dziwne u ludu tak zamkniętego, tak oderwanego od reszty świata, a jednak prawdziwe. Kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą ich dobrze, a mogą, bo prawie wszyscy są nader zamożni. Uważali się zresztą po wszystkie czasy za coś lepszego od pańszczyźnianych, a za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać.

— My, panie, byli królewscy ludzie, wolni — mówił nasz przewodnik. — Do nas jeszcze i z okolic „wciekali“, bo jak kto wciekł, tak my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była...

Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście i wielu pańszczyźnianych „pod królewską rękę.“ Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych to powodów legenda otoczyła wspomnienie króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach, przy świetle łuczywa, o wielkich łowach królewskich, o zjazdach o złocistych karetach i rycerzach, którzy je otaczali. W jednostajnem puszczańskiem życiu pamięć trwa długo, bo nie ścierają jej zewnętrzne wrażenia. Lud ten żył przez całe wieki nader spokojnie; zmiany, które gdzieindziej wstrząsały bytem wieśniaczym i sprowadzały niejednokrotnie rozbrat między dworem a chatą, tu, dla samego już braku dworów, nie odbijały się wcale. Tu chłop od wieków władał ziemią, więc nowsze czasy nie przyniosły nic nowego. Może dlatego na ubranego w surdut wędrowca patrzą tu ciekawie, ale witają go serdecznie, jak gościa, ale i swojego zarazem.

Więcej zmian wprowadziły nowsze czasy w kaście dawnych leśników. Mówię: w kaście, gdyż urzędy te przechodziły przez wieki całe z pokolenia na pokolenie. Dziś wielu jest między nimi ludzi ze stron dalszych, wszystkich jednakże niepodobna było zastąpić, bo ażeby znać puszczę i umieć sobie w niej radzić, trzeba się w niej wykołysać. Próbowano zastąpić miejscowych osadników mieszkańcami innych dalekich lasów i razu pewnego sprowadzono tych ostatnich, jako nadzwyczaj biegłych, na jakieś wielkie polowanie. Ale cóż się stało: oto odrazu wszyscy pogubili się w puszczy i łowy nie udały się zupełnie. Nasz budnik opowiadał nam o tem z pewną dumą.

— Kto panie puszczy nie zna — mówił — a zjedzie z drogi, ten i przepadł. U nas złodziej konia nie ukradnie, bo ucieka drogą, to go złapiem, a zjedzie, ot będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie.... Tak panowie!

Jaka szkoda, że ten, tak ciekawy lud, tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni. Zadanie wdzięczne, dotąd nie spełnione, czeka na podróżnika — badaczą.

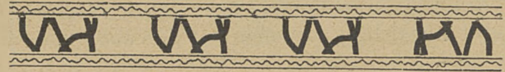
Również nie dość znaną dotąd jest cała puszcza, a niezawodnie zawiera ona prawdziwe skarby zwierzęce i roślinne, ukryte jeszcze w znacznej części.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moje opowiadanie mogło kogo zaciekawić i zachęcić. Inne części kraju znane są lepiej, a może nie są tak ciekawe, tak odrębne, może nie tworzą takiego zamkniętego w sobie świata. Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, zżyć się z nią lepiej, ale po kilku dnich musieliśmy niestety zaśpiewać mohortową piosenkę:

„Czas do domu czas!
„Zabawili nas!“

Przytem niebo zawlokło się chmurami i począł padać deszcz, obfity a uparty. Zasępiła się cała puszcza i zaszła mgłą... Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną... Siedliśmy tedy na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty.

Otoczyły nas znowu równie senne. Budnik miał słuszność: widno na tych równinach i nago... Myśl też chętnie wraca do tych lasów odwiecznych i pióro chętnie dzieli się wrażeniami z czytelnikiem.......



regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Już czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II i. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

W 26-tym zeszycie

„Czytelni Polskiej“

rozpoczęliśmy druk bardzo interesującej powieści historycznej, napisanej przez B. Bolesławitę p. t.

„Król i Bondarywna.“

Rzecz dzieje się za panowania króla Stanisława Augusta. Bohaterką powieści jest wiejska dziewczyna, przecudnej urody, Natałka, w której pokochał się po uszy król Stanisław August. Natałka była córką kozaka Sydora, ale Lacha i szlachcica, który zbroiwszy coś w kraju, zbiegł na Zaporoże i potajemnie na Siczy ukrywać się musiał.

Powieść

„Król i Bondarywna“

jest tak piękna, zajmująca i ciekawa, iż każdy czytać ją będzie z wielkiem zainteresowaniem.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej, rzeczywiście bardzo pięknej powieści historycznej, zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 38 „Czytelni Polskiej.“



Kwity na „Pracę“ i Czytelnią Polską“ na bieżący kwartał są zamieszczone na osobnej stronie pod okładką.

Szanownych Czytelników

w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Wiadomości.

— **Srebrne wesele** obchodził dnia 4-go b. m. redaktor naszego tygodnika p. *Bolesław Rakowski z żoną Leokadyą z Szczepańskich.*

Mszę św. jubileuszową odprawił ks. Kamiński w kościele Bożego Ciała, podczas której Jubilaci przystąpili do Komunii św.

Jubilat, a nasz stały współpracownik od początku założenia „Pracy“, był jedną z pierwszych ofiar, którą za rzekome prasowe przestępstwa polityczne „Pracy“ wielokrotnie zapozywano tak przed policyę jak też przed sędziego śledczego, następnie karano grzywnami, wreszcie wtrącono do więzienia.

Szanownej Parze Jubilatów składamy najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności!

— **350-letni** jubileusz swego założenia obchodziła w ubiegłą niedzielę cechowa czeladź krawiecka w Poznaniu.

Za podstawę do tego obchodu wzięto rok 1553, gdyż w wzmiankowanym roku był przywilej radziecki dla czeladzi spisany. Niewątpliwie już przed rokiem 1553 istniało pewne Stowarzyszenie czeladzi krawieckiej, połączonej z cechem, skoro w 1553 r. nadano poznańskiej czeladzi krawieckiej przywilej radziecki. Nie mając jednak w cechu starszej daty swego istnienia, wzięła czeladź rok 1553 za podstawę swego tegorocznego obchodu. Ale już te przeszło trzy wieki wiernej zgodnej łączności czeladzi z mistrzami cechowymi w pracy warsztatowej i w spójni cechowej i kościelnej, to piękna i poważna liczba lat.

Oby ten jubileuszowy obchód przyczynił się do jaknajsilniejszego utrwalenia tej tylu wiekami uświęconej spójni sławetnego poznańskiego cechu krawieckiego z sławetną cechową czeladzią krawiecką.

— **W Miłosławiu** pobłogosławiony został dnia 22 z. m. związek małżeński między panną Katarzyną Kościelską, starszą córką pp. Józefostwa Kościelskich, a p. Tadeuszem Sieheniem, obywatelem z Litwy. Świetny orszak weselny zebrał się na uroczystość rodzinną w wspaniałym zamku miłosławskim.

— **Stała wystawa obrazów w Poznaniu**, ulica Berlińska nr. 7 (róg ulicy Bismarka), otwarta od godz. 10 przed południem do 6 wieczorem. Wejście 50 fen., w niedzielę i święta wejście 25 fen.

— **Tegoroczne** wakacye konsystorskie rozpoczną się dnia 13 lipca i trwać będą do 24 sierpnia. Tylko sprawy nie cierpiące zwłoki załatwiane będą w tym czasie.

— **„Ursus“**, woda obięgorska, nareszcie dostała się do Poznania, dzięki zabiegliwości p. Umbreita w firmie: Olyński i Umbreit przy ul. św. Marcina 64. Nabywać ją tam można po bajecznie niskiej cenie, 30 fen. za butelkę. Smak wody wyśmienity. Spodziewamy się, że woda „Ursus“, skuteczna w chorobach krtani, płuc, żołądka i pęcherza, pobije wszelkie rywalki obce, n. p. Apollinarysy, Giesshübly, Krondorfy itd.

— **Zwracamy** baczną uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie p. J. Białasa przy ulicy Wrocławskiej, polecającego renomowaną fabrykę odznak, medali i biżuteryi oraz skład zegarków, okularów i wyrobów złotniczych, połączony z warsztatem reparacyjnym.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie Szczecińskiego hurtownego handlu śledzi i nafty Maciejewski i Sp., Poznań, W. Garbary 23, który obok śledzi i nafty prowadzi także teraz hurtowną sprzedaż *margaryny* w doborowych gatunkach. Polecamy firmę tę polską względom Szan. Czytelników naszych.

— **Rodak** nasz pan Leon Idaszewski, syn nauczyciela z Pyszący pod Śremem, zdał w wtorek dnia 23 b. m. na uniwersytecie w Lipsku egzamin państwowy na lekarza praktycznego.

— **Nakło.** W mieście naszem odczuwamy od dawna brak blachnierza Polaka. Miasto liczy 8 tys. mieszkańców i ma tylko jednego blachnierza Niemca i jednego niedawno tu osiadłego żydka. Ostatni nie ma żadnego powodzenia, natomiast Niemiec ma pracy pod uszy i zatrudnia 5 ludzi. Polak zatem na pewną liczyć może egzystencyą, gdyż okolica dość zamożna i polska. Polak blachnierz, mający mały kapitalik do dyspozycyi, mógłby prócz zawodu swego założyć także handelek wyrobów blacharskich oraz szkła i porcelany a byt zapewniony.

— **Krotoszyn.** W pięknie w zieleń wystrojonym kościele farnym pobłogosławionym został dnia 29 z. m. związek małżeński pomiędzy panem Maksymilianem Bąkowskim a panną Leoną Becharską z Krotoszyna.

Aktu ślubnego dokonał ksiądz proboszcz Wojciechowski w asystencyi księdza Kruga. Na ogólną uwagę zasługuje pięknie wykonany śpiew z towarzyszeniem muzyki, który pod dyrekcyą organisty, p. Wojciechowskiego, usłyszeliśmy z chóru.

Gości weselnych podejmowali u siebie rodzice panny młodej z staropolską gościnnością. Telegramów, przeważnie narodowych, nadeszło przeszło sto, pomiędzy niemi także od Towarzystwa gimnastycznego „Sokół“ i od Koła śpiewackiego, którego pan młody jest długoletnim członkiem.

Przy dźwiękach dobrej, polskiej mu-

zyki p. Wojciechowskiego bawiono się ochoczo, lecz skromnie, aż do rana.

Szczęść Boże młodej parze!

Jeden z gości.

Zmarli.

† Ś. p. *Karol Ganowicz* dnia 28-go z. m. w Poznaniu (Jeżycach). Pogrzeb odbył się dnia 1-go b. m. w Gostyniu.

† Ś. p. *Stefan Wyssogota Zakrzewski* w 68 roku życia, dnia 30 go z. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się dnia 3-go b. m. w Strzelcach pod Piaskami.

† Ś. p. *Elżbieta Brojerska* dnia 21-go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Róża Małkowska* urodz. *Pralewska* dnia 25-go z. m. w Grabowie (w Prusach Zachodnich) w 61 roku życia.

† Ś. p. *Julian Raszewski* dnia 26-go z. m. w 21-ym roku życia w Gnieźnie.

† S. p. *Józef Antoniewicz*, żołnierz z r. 1848 z pod Miłosławia i Sokołowa, dnia 26-go z. m. w 84 roku życia w Poznaniu (Jeżycach).

Ruch w Towarzystwach.

— **Stęszewo.** Dnia 5go lipca b. m. urządza Cech Pospolity zabawę latową w lesie hr. Potockiego w Zamysłowie. Wymarsz po południu o godz. pół do 2-giej z lokalu p. W. Szajkowskiego. Na zabawę tę Szanownych członków oraz życzliwych gości jak najuprzejmiej zaprasza.

Zarząd cechu Pospolitego w Stęszewie.

— **Doniesieni tymczasowe.** Towarzystwo śpiewaków w Odolanowie urządza dnia 15-go sierpnia (w dzień Wniebowzięcia N. M. P.) *Zjazd Kółek śpiewackich południowego okręgu*, do którego należą Koła śpiewackie z Ostrowa, Raszkowa, Sulmierzyc, Odolanowa, Krotoszyna, Koźmina, Kobylina, Borku, Jarocina i Ostrzeszowa. Wszelkie Towarzystwa z poblizkich powiatów upraszam, ażeby w tym dniu nie urządzały zabaw miejscowych, ażebyśmy mogli liczyć na jak najliczniejsze przybycie gości. Z wszelkiemi sprawami dotyczącemi Zjazdu prosimy udawać się pod adresem ks. Jana Donata w Odolanowie. O szczegółach Zjazdu doniesie jeszcze w swoim czasie Komitet Zjazdu.

Kom. Zjazdu Śpiewaków w Odolanowie,
Ks. Jan Donat, przewodniczący.

Od Redakcyi.

Panu M. K. w S. — Wiersz „Moje przygody“ nie nadaje się do druku.

Panu B. S. w W. — Najtańszy przejazd z Bremy do Nowego Jorku kosztuje 160 marek (na międzypokładzie.)

„*Wesołej.*“ — Nadesłane bynajmniej „niewesołe“ wiersze nie nadają się wcale do „Pracy.“

Pani W. M. w K. — Chętnie służylibyśmy radą, ale w tym razie nic poradzić nie możemy.

Panu Władysławowi M. w Jüterbog. Tylko znane są nam następujące adresy: „Stanisław Dobrogojski Mielżyn p. Mieltschin. Pr. Posen.“ — „Mieczysław hr. Kwiecki Oporowo p. Scharfenort. Pr. Posen.“



Fraszka.

Kiedy szukał młodzian żony
Przed dawnemi bardzo laty —
Dbał, by jego cud wyśniony
Wyszedł z zacnych ojców chaty...
Dziś, gdy młodzian o ożenku
Myśli — to już z tą rachubą —
Aby naprzód mógł mieć w ręku...
Intercyzę z sumą grubą.

Trafna nazwa.

— Ciekawym, dlaczego pałac królewski w Belgradzie nazywa się „Konak?“

— To nie wiesz? Ależ to proste: bo tam się prędko *kona.*

Wykonana przysięga.

Molestował Ignaś Teklę,
Jako dla niej siadłby w piekle,
Tekla rzeknie: — Prawdy dowiedz
I daj zaraz na zapowiedź.

. . . .

Gdy zrobiło się, jak rzekło,
Ignaś z Teklą ma dziś piekło.

Między narzeczonymi.

— Wiesz co, kochana Zosiu, że ten twój ojciec jest istotnie naiwny.

— Dlaczego?

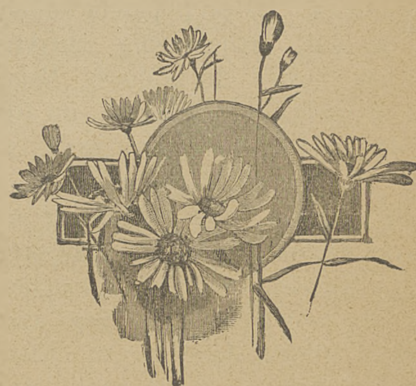
— Kiedym mu przedstawił stan moich długów, zapytał mnie, kiedy je myślę spłacić.



— ***Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej guarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“





Dział kobiecy.



Draga.

Wielu mężczyzn ją kochało, wielu nienawidziło — takich było jeszcze więcej. To świadczy, że nie była kobietą pospolitą. Za jej życia opowiadano o niej różne skandale. Po śmierci przypisują jej różne występki. Tym, którzy wiele zawinili, dodają jeszcze win, a zresztą w oczach tłumów największem jej przestępstwem było zawsze to, że wzniosła się po nad tłum, z którego wyszła. Jej kolebka była bardzo daleką od stopni tronu, niańki (o ile je miała) nie śpiewały nad nią Dradze Lunjewica, że ta córka zbożowego handlarza z Gornyi Milanowacz zostanie kiedyś królową serbską. Mała mieścina nie obfitowała w „partye“, to też panna Draga nie miała już ani piętnastu, ani nawet dwudziestu lat, gdy ją znalazł inżynier Maszin z Szabacu; niebawem została wdową z 65 frankami miesięcznej emerytury. „Swietne“ małżeństwo nie zbliżyło jej znacznie do stóp tronu, a jednak potrafiła wyzyskać, co się dało ze swego wdowieństwa. Dzięki poparciu adoratorów, uzyskała zwiększenie emerytury i znalazła dostęp do królowej Natalii, która, wyjeżdżając podówczas do Biarritz, wzięła ją w charakterze panny służącej. Draga zaczyna wypływać na widownię z chwilą, gdy swojej przyszłej świekrze zapina buciki. W następstwie twórcy rodowodów uczynili z handlarza Lunjewicy — wojewodę, a jego córkę obdarzyli tytułem damy dworu. Właściwie jednak była pierwszą panną służącą. Umiała wkraść się w łaski Natalii, która pragnąc ujarzmić krnąbrnego syna, wezwała ją do pomocy Draga zaczęła jego edukacyę i prowadziła ją bardzo skutecznie — dla siebie. Chłopak robił szybkie postępy na drodze do Cetyny. Lecz Draga mogła jedynie marzyć o ścieraniu kurzów ze stopni tronu; mimo to postanawia wstąpić na te stopnie i zasiąść obok Aleksandra — nie z lewej, lecz z prawej ręki.

Na każdego młodzieńca przychodzi chwila, w której musi robić głupstwa; od tej epidemii nie są wolni nawet królewicze. Pani Draga umiała korzystać ze sposobności. Początkowo szczytem jej marzeń było — zostać kochanką królewską, potem chciała zaćmić nie tylko swoje towarzyszki zabaw w Górnych Milanowicach, lecz i damy dworu w Białogrodzie. Liczyła się tylko ze swą próżnością, nie zaś z ludzką zawiścią i złością. Wstępując na tron, pozyskała tylu wrogów, ilu było zawistnych. Nie tylko wyższe, ale i najniższe sfery nie lubią mezaljansów.

Królowa Draga nie dbała o zawiści. Była sprytną, umiała wznieść się na szczebel najwyższy, ale miała duszę panny służącej i dlatego popełniła jeden błąd: nie dostrzegła, że tron jest czemś więcej, niż złoconym fotelem. Powinna była okupić swe wzniesienie wielkiemi cnotami, wielkiem miłosierdziem, żądzą uszczęśliwienia kraju, powinna była stać się prawdziwą królową, nie z nazwy i pozoru, lecz z ducha; dla niej być królową, znaczyło tylko nosić koronki, perły, brylanty, jedwabne pończochy, batystowe koszule i mieć sumy, deponowane w banku angielskim. Takie zapatrywanie wyniosła z Milanowic i z Szabacu. A gdy ujrzała dokoła siebie rosnącą falę nienawiści, chcąc się ratować, użyła znowu środka niewłaściwego — chciała nie tylko być królową, ale pochodzić z królewskiego szczepu, chciała osadzić swego brata na tronie, jak Napoleon, pragnęła całą swą rodzinę okryć purpurą. Nie była wielką, była tylko ambitną, próżną, i.... naiwną, albowiem wierzyła święcie w bajkę o dzieweczce, która wzdychała do królewicza, a królewicz przyjechał, pokochał i zrobił ją królową.

Swemu pierwotnemu stanowisku panny służącej zawdzięczała brak należnego respektu do tronu — nikt nie jest bohaterem dla swego lokaja. Draga znała królów z garderoby i sypialnego pokoju — nie szanowała ich dostatecznie. Dlatego wzniósłszy się tak wysoko, nie doznała zawrotu głowy — dlatego przypłaciła życiem to wzniesienie.

O krótsze suknie.

W Gottenburgu, w Szwecyi, odbyło się niedawno temu zebranie nadzwyczajne „Towarzystwa reformy sukien“, na którem zastanawiano się nad tem, w jaki sposób możnaby zniewolić panie do noszenia krótszych sukien i spódniczek. Sala już na godzinę przed rozpoczęciem posiedzenia zapełnioną była po same brzegi, a setki mężczyzn i kobiet nie mogły się do niej docisnąć. Po zagajeniu posiedzenia na mównicę weszła jedna z pań i w długiej przemowie dowodziła, że suknie powłóczyste bardzo szkodzą zdrowiu i w najwyższym stopniu są nieestetyczne; reformę, jej zdaniem, trzebaby zacząć z góry, a przyjmie się szybko i bez trudności będzie przeprowadzona. Inna mówczyni wyraziła przekonanie, że mężczyźni usiłowania te będą chętnie popierali, gdyż o ile jej wiadomo, nie są oni przeciwni oglądaniu zgrabnej nóżki kobiecej. Nie godziła się na to pewna starsza pani, która żądała, aby kobietom obdarzonym przez naturę nogami długiemi i szerokiemi, wolno było nosić długie suknie. Ostatecznie możnaby je skrócić o dziesięć centymetrów. Obecny na zebraniu stary oficer oświadczył, iż zupełnie zgadza się na poprzednie wywody: „suknia kobieca, zakończył nie powinna być dłuższą nad dziesięć centymetrów.“ Zebrani wybuchnęli homerycznym śmiechem, z którego oficer przekonał się, że źle zrozumiał swoją poprzedniczkę. Ostatecznie przyjęto jednogłośnie rezolucyę, opiewającą, że suknie kobiece powinny odstawać od ziemi o 10—12 centymetrów. Wszystkie obecne na zebraniu panie przyrzekły, że się zastosują do uchwały i zasadę tę rozpowszechniać będą w jak najszerszych kołach.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

XXIX roczne walne zebranie „Westy“, Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

Dnia 20 czerwca zm. odbyło się na sali Bazarowej walne zebranie członków „Westy“. Przewodniczył zebraniu p. dr. Rzepnikowski, prezes rady zawiadowczej. Protokół notaryalny spisał p. adwokat i notaryusz Trąmpczyński Na skrutatorów przy liczeniu głosów powołani byli p. Umbreit i pan Władysław Namysł z Poznania.

Po odczytaniu sprawozdania Dyrekcyi z czynności Banku w roku 1902 przez generalnego dyrektora p. dr. Mieczkowskiego i danych objaśnieniach przez p. prezesa rady dr. Rzepnikowskiego, referował p. Umbreit imieniem komisyi rewizyjnej z odbytej rewizyi rachunków i kasy i wniósł o udzielenie pokwitowania zarządowi, który to wniosek został jednogłośnie przyjęty.

Na członka rady zawiadowczej wybrano pana Jana Leitgebra ponownie. Na członków komisyi rewizyjnej wybrano pp. dr. Teodora Jarnatowskiego, Piotra Umbreita i St. Leitgebra, a na ich zastępców pp. Czesława Trawińskiego i Kazimierza Koszutskiego.

Po odczytaniu i podpisaniu protokółu notoryalnego, zebranie zostało solwowane.

Ze sprawozdania dyrekcyi wyjmujemy następujące dane:

„Z przyjemnością przychodzi nam uwiadomić naszych członków, że ubiegły rok obrachunkowy odznaczył się tak pod względem przybytku nowych zabezpieczeń, jak mianowicie także pod względem finansowym pomyślnym rezultatem.

Czysty zysk roku 1902 wynosi po odłożeniu pełnej matematycznej rezerwy i dokonaniu statutem i prawem przepisanych odpisów

M. 85 298,46

w stosunku do M. 55 050,30 w roku 1901.

Przewyżka ta podzieloną zostanie podług § 40 statutu w sposób pod literą D. zamieszczonego w dziale inseratowym rachunku zysków i strat wskazany, przyczem na członków zabezpieczonych z ryzykiem śmierci przypadnie 12% dywidendy od składki rocznej — w obec 10% udzielonych w roku zeszłym. Właściciele certyfikatów otrzymają 4% od czystego zysku (§ 40 b. statutu).

Przybytek nowych zabezpieczeń był w roku obrachunkowym większy jak w roku zeszłym.

Nowych wniosków wraz z wnioskami pozostałymi z roku 1901 mieliśmy do załatwienia w roku 1902 398 na M. 913 685, — sumy zabezpieczonej. Na mocy tych wniosków wygotowaliśmy 338 polis na M. 739 128, — a ogólny stan zabezpieczeń podniósł się w dniu 31 grudnia 1902 na M. 11 384 303 38 sumy zabezpieczonej.

Smiertelność tak pod względem wysokości sumy zabezpieczonej, jak mianowicie pod względem ilości wypadków śmierci nie doszła do wysokości oczekiwanej czyli obrachunkowej — jakkolwiek wypłaciliśmy M. 10 000 więcej jak w roku zeszłym.“

Wpływ ściółki na dobroć mleka i masła.

Wiadomo, że rodzaj zadawanej krowom paszy wpływa na dobroć masła, natomiast zwykle zbyt mało zwraca się uwagi na to, że i ściołka może również wpłynąć na smak i trwałość mleka. Często się więc zdarza, że zły materjał na podściół użyty, wywiera bardzo ujemny wpływ na dobroć nabiału. Tak np. w pewnej oborze niemieckiej mleko i masło nabrało smaku mydlanego, a przyczyną tego było słanie zepsutej słomy, pochodzącej ze sterty. Gdzie indziej znowu pojawiły się wady w mleku i maśle, gdy na podściół zaczęto używać wrzosów. Nie ulega też wątpliwości, że z zapleśniałej słomy lub liści użytych na ściołkę, mogą się dostawać do wymienia i do mleka w znacznej ilości bakterje, które się w mleku bardzo szybko rozmnażają i dają powód do pojawienia się niepożądanych wad. Szczególnie niekorzystne bywa zakażenie mleka wskutek zepsutej ściółki tam, gdzie wyrabiają sery. Chcąc złych następstw uniknąć, należy zatem zwracać baczniejszą uwagę nietylko na jakość zadawanej paszy, lecz również i na jakość materjałów podściołowych a przedewszystkiem, żeby one były suche, przewietrzane.

Koszykarstwo w Królestwie.

Na przemysł koszykarski w Królestwie Polskiem zwrócił rząd w ostatnich czasach baczniejszą uwagę. W celu urządzenia szkół koszykarskich w warszawskim okręgu naukowym, zaleciło ministeryum oświaty kuratorowi okręgu naukowego warszawskiego następujące środki. Najpierw należałoby zająć się systematycznym rozwojem hodowli wikliny; w tym celu należy wprowadzić odpowiednie zajęcia doświadczalne dla hodowli wikliny w tych zakładach naukowych, w których są wykładane nauki rolnicze; zwłaszcza pożądane jest zaprowadzenie podobnych zajęć w seminaryach nauczycielskich. Należałoby przedsiębrać środki dla wzmocnienia zajęć koszykarstwa w tych zakładach, w których ono jest wykładane i utworzenia oddziałów rzemieślniczych koszykarstwa przy szkołach ludowych. W razie braku środków miejscowych mogą być wyjednywane zasiłki ze skarbu najwyżej w sumie rb. 1.500 rocznie na utrzymanie powyższych oddziałów. Rozmiar corocznego wydatku może być określony na 600 rubli, ponieważ oddziały koszykarskie należałoby otwierać w takich szkołach, gdzie są gotowe pomieszczenia. Oprócz tego należy mieć na uwadze jednorazowe wydatki na naukę majstrów — kierowników projektowanych wydziałów; wydatek na powyższy cel wyniesie 300 rubli na każdego majstra. Jednocześnie pożądane jest urządzenie corocznie wykładów dla nauczycieli szkół ludowych w celu nauczenia ich koszykarstwa, a także hodowli wiklin, oraz zaprowadzenie koszykarstwa w szkołach ludowych.

Notatki ekonomiczne.

Fabryka „H. Cegielski Tow. Akc.“ w Poznaniu zbudowała *nowe grabie włościańskie „Tygrys,“* odznaczające się dlatego wielką trwałością, bo nie posiadają skomplikowanych mechanicznych części, jak np. przyrządów zaporowych, zatrzasków, sprężyn itd., więc wszelkich nadzwyczaj szybko zużywających i psujących się części.

Drobne przepisy.

Czystość benzyny, jeśli ma być używaną jako płyn do czyszczenia plam, należy pierwej zbadać, bo jeśli nie jest całkiem czystą, to pozostawia na delikatniejszych materyałach niemożliwe do usunięcia ślady. Najprostszy sposób badania czystości benzyny polega na zamoczeniu w niej skrawka tkaniny bawełnianej. Jeżeli z zamaczanego w benzynie skrawka nie ulotni się do godziny, a najwyżej do dwóch godzin benzyna w ten sposób, że nie posiada żadnej woni — to nie jest czysta i do wywabiania plam na jasnych, delikatnych tkaninach nie przydatna. Im dłużej i uporczywiej zachowuje skrawek właściwą benzynie niemiłą woń, tembardziej jest zanieczyszczoną.

Dodatek Humorystyczny.

Na wodach.

I.

Ona była zwykłą panną,
Co w panieństwie czas zmitręża,
Wysilając myśl i wiedzę,
Aby tylko znaleźć męża.

Miała papę oraz mamę,
Co ją wydać byli radzi,
Ale brakło jej posagu,
Co do ślubnych wrót prowadzi.

On pracował w jakiemś biurze,
Zwykły pionek, nic wielkiego,
Z tych, co mają pieniądz w kiesie
Raz na miesiąc na pierwszego.

Kawalerski stan wesoły
Już go znudził do przesytu,
Przeto pragnął się ożenić
Dla warunków lepszych bytu.

II.

Ona snując różne plany
I projekty swej przyszłości,
Oświadczyła, że należy
Zmienić teren działalności.

A że wyjazd podczas lata
Jest niezbędnym wedle mody,
Przeto z papą oraz z mamą
Wyjechała gdzieś na wody.

On, choć ani na lekarstwo
Nie miał złota w swoim trzosku,
Lecz w tym czasie po namyśle
Do takiegoż przyszedł wniosku.

I pojechał też na wody
Z okiem, pełnem jasnych błysków,
Wziąwszy grosze od lichwiarza,
Na rachunek przyszłych zysków.

III.

Los zazwyczaj jednym sprzyja,
A zapory innym kładzie —
On i ona się ujrzeli
Na porannej promenadzie.

Wnet w ich sercach rewolucyą
Wybuchnęła miłość zdradna —
Ona rzekła: „ten lub żaden!“
On powiedział: „ta lub żadna!“

Ona w duchu wciąż szeptała,
Myśląc o nim wśród zajęcia,
„Musi być conajmniej z hrabiów,
Bo wygląda on na księcia.“

On zaś szeptal, rad, że panna
Czułem okiem ciągle zerka:
„Musi posag mieć nielada,
Z miny bowiem — milionerka!“

IV.

Poznali się w pewien wieczór
Po niedługich w tem zachodach,
Bo nic nie ma łatwiejszego,
Jak poznanie się na wodach.

Miłość wspólna im sprawiała
Rozkosz jedną, nie katusze.
I z dniem każdym coraz ściślej
Łączyły się bratnie dusze.

Rozumieli serc swych drgnięcia,
W których miłość się wyraża
I flirt wiedli w tym gatunku,
Co prowadzi do ołtarza.

A wśród flirtu wspominali,
Przechadzając się po parku,
Ona o swej kamienicy,
On o swoim zaś folwarku.

V.

Że Kupido coraz silniej
Ranił ową parę czułą,
Więc na wodach incognito
Ksiądz im złączył ręce stułą.

Radzi byli, licząc wzajem
Na wspomniany swój kapitał,
Póki ona się o folwark,
On zaś o dom nie zapytał.

Poczem wynikł stąd epilog,
Jak w tragedyi, nie zaś farsie,
Bo jej dom był na księżycu,
Jego folwark zaś na Marsie.

Lecz że do tych obu planet
Nie prowadzi żadna kolej,
Więc na trzeciej siedzą — ziemi,
Najhaniebniej dzisiaj goli.



Serce bije za mocno...

Piękna pani X. chce wnieść skargę o separacyę, ponieważ mąż, brutal, w przystępie zazdrości bije ją.

Przyjaciółka pani X. pragnie pogodzić zwaśnionych małżonków.

— Uspokój się — powiada przebacz, w gruncie rzeczy twój mąż ma dobre serce.

— Tak, ale to serce bije za mocno.



Ciekawość ukarana.

Rzecz dzieje się między młodą parą.

— Co mówił ojciec wczoraj po moich oświadczeniach o twoją rękę?

— Uniósł się strasznym gniewem. Nazwał cię osłem, idyotą...

— A ty co mówiłaś, najdroższa?

— Starałam się go uspokoić, mówiąc, że nigdy nie należy sądzić ludzi z pozoru.



Także płatnik.

Szewc upomina się o uregulowanie rachunku.

— Dostaniesz pan swoje pieniądze, ale w tym miesiącu nie mogę jeszcze zapłacić!

— O, to samo mówił mi pan miesiąc temu.

— No i czy nie dotrzymałem słowa?



Na wsi.

— O la Boga! O rety! jakże mi mózgownica boli, jesce mi się kołtun zwinie!

— Cichoj, babo!... Wielgie zecy! a choćby ci się i kołtun zebrał, to będziesz wyglądała rychtyg jak letnicka poznańska i tylo!



Coby wolała.

Rozmowa podsłuchana na Wilhelmowskim placu.

— Moje Salcze, cobyś ty wolała: wróbel w ręku czy gołąb na ręku?

— Ty potrzebujesz wiedzieć, Izydor, co ja wole pieczone giensz.



Nie widziała.

— A wstydź się, Maniu, widziałam jak cię pan Karol pocałował.

— Ale ja nie widziałam!

— I ty się śmiesz jeszcze zapierać, wyrodna córko?

— Nie widziałam, bo mnie pocałował — w oko!



Skąpiec.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił,
Żeby jednak dwóch groszy za powróz nie płacił,
Trzy razy się na szelkach wieszał w sposób dziki
I żyje... szelki były z berlińskiej fabryki.



U golarza.

— Pan widocznie nie lubi się sam golić?

— Nie, ale lubię golić drugich... szczególnie w karty!



Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

2)

(Ciąg dalszy.)

— Ależ bardzo chętnie, — odpowiedziała Teresa uprzejmie, wskazując otworzone pudełko. — Weź pani tyle, ile chcesz. Jest tu róż i blansz!

Aktorka otworzyła jeden z słojków i wzięła na czubek palca czerwonej maści.

— Uróżuję się tu zaraz, — rzekła idąc do zwierciadła, i rozdzieliwszy maść na dwie części, zaczęła ją sobie rozcierać na twarzy.

— Bardzo pani jestem za to wdzięczną, — zaczęła po chwili, — i życzę ci z całego serca, abyś zwyciężyła dziś twoją nieprzyjaciółkę!

— Moją nieprzyjaciółkę? — powtórzyła Teresa zdumiona. — Przecież ja żadnej nie mam!

— Nie? ha, ha, że się też pani tego nie domyślasz! Więc powiem ci! Strzeż się Cezaryny Malten!

— Cezaryny? a cóż ja....

Straszny krzyk przerwał Teresie. Aktorka rzuciła się jak szalona ku drzwiom, wołając przeraźliwie:

— Ratunku! Palę się! To ogień, ratunku!

Nieszczęśliwa wybiegła na kurytarz, Teresa zaś myślała w pierwszej chwili, że to napad obłąkania, obecny jednak lekarz stwierdził natychmiast, że maść jest zatruta, i że biedna dziewczyna przez całe życie ciężko będzie miała zeszpeconą twarz. Równocześnie wpadł Rajmund do garderoby Teresy i rzucił na stół inne słoje z maściami.

— Weź pani te, — wołał bez tchu, one są lepsze — najwyższy czas —publiczność zaczyna się już niecierpliwić — prędko!

— Jestem gotową! — rzekła Teresa spokojnie.

Muzyka ucichła teraz i kurtyna została podniesioną.

Teresa stała za kulisami w białej, powiewnej sukni, z rozpuszczonemi jasnemi włosami — jak prawdziwa bogini wiosny, i czekała na chwilę, w której miała wyjść na scenę. Serce jej biło mocno, pulsa uderzały przyspieszonem tętnem, a usta drżały tak, że trudno jej było słowo jedno wymówić. Rajmund zbliżył się do niej.

— Odwagi, moja pani, odwagi! — szepnął, — mając taki głos, nie potrzebujesz się niczego lękać!

— Ja się — też — niczego nie boję, — odrzekła Teresa, przymuszając się do uśmiechu.

Dyrektor musiał odejść, wezwano go bowiem na inną stronę sceny i Teresa została sama.

Dzwonek reżysera już się odezwał, Teresa uczyniła szybko znak krzyża świętego i wyszła z za kulisy, gdy w tejże chwili rzekł ktoś za nią:

— Matka pani umarła!

Teresa zadrżała. Miała jednak tyle jeszcze przytomności, że się obróciła, i ujrzała piękną i szyderczo uśmiechniętą — Cezarynę Malten.

— Dalej, dalej, — zawołał reżyser, — publiczność nie lubi czekać!

— Ale matka moja umarła!

— To nie prawda! Daję pani słowo! Chcą panią tylko przestraszyć! Dalej, dalej!

I nagle stanęła Teresa na jasno oświeconej scenie, nie wiedząc sama, jak tam weszła. Przerażona, na wpół przytomna spojrzała na salę — były tam setki głów, tysiące oczu zwróconych na nią — i wtedy uczuła, że jej się w głowie zawraca.

Pierwsze tony, które z drżących wypłynęły ust, były tak ciche i niepewne, że nikt ich może nie słyszał, a jak na dany rozkaz odezwały się tu i owdzie krzyki:

— Precz z Teresą Krones! Spuścić kurtynę! Niech żyje Cezaryna Malten!

Ale niegodziwa ta intryga Cezaryny, zamiast odebrać jej resztę odwagi, wróciła jej nagle całą przytomność umysłu. Nie zważając na sykania, zaczęła śpiewać z całą swobodą i pewnością siebie, a prześliczny głos jej płynął dźwięcznie i silnie, i zjednał jej odrazu całą sympatyą publiczności. Piękne oczy dziewczęcia jaśniały przytem taką niewinnością i słodyczą, że nawet zwolennicy Cezaryny byli zachwyceni nową gwiazdą opery, Teresą Krones!

Cezaryna blada z gniewu, stała ukryta pomiędzy kulisami i słuchała z zaciśniętemi ustami cudownego śpiewu swej rywalki.

I nie odchodziła — została nawet aż do samego końca przedstawienia i widziała, jak Teresę zarzucono formalnie kwiatami, i jak oczarowana publiczność wywoływała bez końca młodą, piękną śpiewaczkę. Te godziny upokorzenia pomściły już dostatecznie Henryka!

Gdy kurtyna po raz ostatni zapadła, wyszła Cezaryna na ulicę, nie zważając, że cienkie jej buciki przemokły natychmiast w śniegu, i że lodowy wicher rozrzucał jej czarne włosy bezładnie.

— Precz, — szeptała, — precz z tego domu, w którym inna teraz panuje! Wczoraj uwielbiali mnie wszyscy, jutro zapomną!

— Cezaryno, — odezwał się nagle głos jakiś obok niej, — słuchaj, ja.....

Był to baron Bondi.

Zjawił on się tak niespodziewanie i cicho, jak duch i wszedł razem z nią na most, łączący środek miasta z przedmieściem Leopolda.

— Oszalałeś pewnie, mój baronie — zawołała śpiewaczka niecierpliwie. — Czego chcesz odemnie? Nie dotrzymałeś słowa, jestem zgubiona, bo ta żebraczka zwyciężyła mnie zupełnie!

— Przysięgam ci, że uczyniłem, co mogłem, i nie pojmuję, jakim sposobem ona dziś mogła wystąpić! Ale nie zważajmy na nią! Ja cię uszczęśliwię — zrzeknij się świetności teatralnej — ja jestem bogaty, wyjedziemy ztąd — będziesz żyła jak księżna — bądź tylko moją, Cezaryno!

Ale śpiewaczka odsunęła się ze wstrętem.

— Żoną pana! — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — Nigdy! Wiedz teraz, nędzniku że owa Teresa Krones zabrała mi nietylko serca publiczności, która mnie ubóstwiała i uwielbiała, ale nadto serce jednego człowieka, którego ja ubóstwiam i uwielbiam i którego miłość miałaby dla mnie więcej wartości, niż skarby całego świata! Kochałam i kocham Henryka i teraz, gdy go straciłam, czuję, że bez niego żyć nie mogę! Nienawidzę cię za to, że mi radziłeś odmó-

wić pomocy Henrykowi, gdy mnie o nią prosił, gdybym cię nie była usłuchała, byłoby dziś wszystko inaczej! Nienawidzę cię, baronie Bondi! Życie z tobą byłoby mi piekłem! Powiedz Henrykowi, że on był ostatnią moją myślą, że kocham go, i że umieram — nie mogąc odzyskać jego serca.....

Bondi krzyknął głośno i rzucił się naprzód z wyciągniętemi rękami, ale — zapóźno.

Zanim się spostrzegł, wskoczyła Cezaryna na szeroką, kamienną poręcz mostu — potem —

— Stój, szalona! — zawołał, i schwycił jej płaszcz.

Cezaryna jednak miała płaszcz tylko zarzucony na ramionach. Bondi zatrzymał go też w rękach, podczas kiedy ona sama znikła w falach Dunaju, pomiędzy ogromnemi krami.

— Ratunku! Ratunku! — krzyczał Bondi, przechylając się przez poręcz. — Na pomoc! Cezaryno! O, tam, tam, widzę ją! Na pomoc! Ratunku!

— Ratujcie, — dał się teraz też słyszeć głos Cezaryny. Zimna kąpiel wróciła jej przytomność. — Ratujcie! Ja nie chcę umierać!

Ale Bondi nie był dosyć odważnym, aby wskoczyć do wody. Bał się kawałów lodu, bał się zimna, życie własne było mu jednak zbyt drogiem, aby je miał dla kogoś narażać.

W okolicy tej przechodziło wieczorem mało ludzi, ale na krzyki barona i tonącej zgromadziło się jednak wnet dużo osób, wszyscy pytali, wołali, załamywali ręce, o ratowaniu nikt przecież nie myślał.

— Co się stało? Ach, ktoś wskoczył do wody! Okropność!

Bondi wyciągnął z kieszeni woreczek ze złotem i podniósł go po nad głowę.

— Nieszczęśliwa żyje jeszcze — krzyczał ochrypłym głosem — widzicie ją — tam — kto ją uratuje, dostanie to złoto! Jest tu parę tysięcy guldenów!

Głuchy szmer rozległ się pomiędzy zgromadzonymi, nikt nie miał jednak odwagi zarobienia tej znacznej sumy pieniędzy.

W tej samej chwili weszły na most dwie osoby, mężczyzna i kobieta.

Był to Henryk z Teresą, wracający z opery.

— Henryku — szeptała Teresa, przyciskając się do ramienia ukochanego — powiedz mi prawdę, czy matka moja żyje? Czy wiadomość, jakiej mi udzielono w teatrze była kłamstwem?

Henryk milczał. Nie mógł on tej godziny szczęścia zatruwać smutkiem i żałobą, a przynajmniej chciał narzeczoną zwolna na to przygotować. Pani Krones rzeczywiście umarła.

— Milczysz? — zawołała Teresa przerażona. — O Boże — moja matka nie żyje!

— Ratunku! — dał się teraz słyszeć głos z głębi.

— Co się tam stało! — krzyknął Henryk biegnąc naprzód. — Patrz, tyle ludzi — ktoś wpadł we wodę — trzeba ratować!

— O, Henryku — błagała Teresa — zostań przy mnie, ja się tak boję!

— Nie mogę! Widzisz przecież, że życie człowieka w niebezpieczeństwie! To głos kobiety! Pomyśl tylko, w jak śmiertelnym ona strachu! Nie obawiaj się o mnie, umiem doskonale pływać, Bóg mnie nie opuści! Na bok! — krzyknął, odsuwając stojących przy poręczy ludzi, — zamiast stać tu bezczynnie, powinniście byli dawno już ratować nieszczęśliwą. Boże, miej mnie w Swej opiece!

W następnej chwili stał już na balustradzie, a jedno spojrzenie na dół dało mu poznać, że tonąca trzymała się resztką sił olbrzymiej kry, i że zaczynała tracić przytomność, bo nawet wołać już nie mogła.

Szybkim ruchem zrzucił płaszcz i skoczył w przepaść.

Teresa przechylona przez poręcz bliską była zemdlenia. Nie widziała też, z jak natężoną uwagą Bondi się w nią wpatrywał i jak szyderczo się uśmiechał.

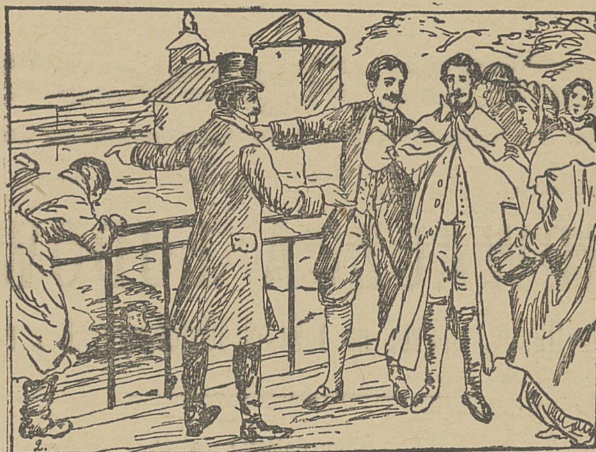
— Jeżeli się Cezaryna utopi, zostanie mi Teresa — myślał ten nędznik.

Ach, Teresa nie myślała teraz o niczem innem, jak o niebezpieczeństwie, w jakiem się znajdował jej ukochany, i to z powodu kobiety, której wcale nie znał!

Henryk tymczasem zbliżał się coraz to więcej do nieszczęśliwej, która już tylko jedną ręką kry się trzymała. Jeszcze jedno silne poruszenie i nareszcie! Henryk wsunął się na krę, schwycił tonącą i wciągnął ją do siebie.

Zgromadzeni na moście oddychać nie śmieli z podziwu nad tym bohaterskim czynem. Kilkanaście osób zbiegło na brzeg aby dokończyć dzieła. Dwadzieścia, trzydzieści ramion wyciągnęło się, chcąc rzucić linę Henrykowi i przyciągnąć go do brzegu, gdy nagle....

Ogłuszający huk rozległ się na rzece. Zdawało się, że setki armat wystrzeliły od razu, potem okropna nastąpiła cisza, a oczom stojących na moście i nad brzegiem straszny przedstawił się widok.



Na bok — krzyknął Henryk — odsuwając stojących przy poręczy ludzi. Boże, miej mnie w swej opiece.

Cienka warstwa lodu, złączona z ową krą, na której znajdował się Henryk z Cezaryną, pękła — a fale Dunaju porwały krę, obróciły nią kilka razy i w szalonym pędzie popchnęły naprzód, z biegiem wody.

Stało się to wszystko tak prędko, że zanim ktoś oprzytomniał, już kra znikła, i zdala tylko dał się słyszeć rozpaczliwy krzyk Henryka:

— Bądź zdrowa Tereso! Już się nigdy nie zobaczymy!

Wicher i fale pędziły krę tak, jak gdyby tych dwoje ludzi, znajdujących się na niej, nie mogło umrzeć dosyć prędko.

Z załamanemi rękoma stała Teresa na moście, nie mogąc nawet w pierwszej chwili pojąć, co się stało. Ale gdy Henryk zniknął, gdy teraz nawet już głosu jego nie słyszała wtedy dopiero poznała, że straciła go na zawsze.

I z okrzykiem strasznej rozpaczy rzuciła się na kolana, wołając jak nieprzytomna:

— Henryku! Ratuj się! Wróć do mnie! Ach, Henryku! Nie zostawiaj mnie samej!

— Wstań pani — rzekł Bondi, zbliżając się do niej. — Hrabia Orszański już pewnie nie żyje w tej chwili. Fale unoszą krę z taką szybkością, że o ratunku mowy być nie może. Tam na skręcie zamienia się Dunaj prawie w morze — jakimże więc sposobem mogliby dobić do brzegu?

Teresa zerwała się prędko i uciekała, jak gdyby ją złe duchy ścigały. Zdaleka słyszała jeszcze krzyki i wołania stojących na moście, potem wszystko ucichło.....

A w uszach jej brzmiały ostatnie słowa Henryka:

— Już się nigdy nie zobaczymy!

— — — — — — — — — — — — — —

Pół godziny później wchodziła złamana i zrozpaczona do swego nędznego mieszkania. Nie wiedząc nawet o tem, miała na ręku wsunięty jeden z wieńców laurowych, dziś otrzymanych. Ach, z jaką radością i szczęściem w sercu, wychodziła przed godziną w towarzystwie Henryka z teatru! W jednej chwili stała się sławną, wielbioną, a teraz.....

Straciła narzeczonego i wracała do śmiertelnie chorej matki.

Ach, gdyby matka jeszcze żyła! Gdyby jej Bóg tej jedynej nie zabierał pociechy! Oprócz niej nie miała już nikogo na świecie, ktoby ją kochał.

Wchodząc do pokoiku, w którym leżała chora, zawahała się Teresa. Dziwny jakiś strach ogarnął jej serce, nie miała odwagi przestąpić tego progu.

Jaka cisza tu panowała, jaka głęboka, śmiertelna cisza, przerywana jedynie tykaniem małego ściennego zegara.

Na stoliku dopalała się lampa, w pokoju więc ciemno było.

Teresa weszła, spojrzała na łóżko i krzyknęła. Matka jej leżała sztywna, nieruchoma, martwa!

— Jestem teraz sama, zupełnie sama — zawołała z płaczem , rzucając się na kolana przy zwłokach matki. Boże, jak ciężko mnie doświadczasz! Tyle szczęścia i tyle rozpaczy!

Potem złożyła swój wieniec laurowy na piersi zmarłej, i siedząc całą noc przy łóżku powtarzała raz po raz z najwyższą rozpaczą:

— Jestem sama! Zupełnie sama na świecie!

ROZDZIAŁ IV.

Na krze — z biegiem Dunaju.

Kra olbrzymi, gruby kawał lodu, na której się znajdowali Henryk i Cezaryna, pędziła z szybkością błyskawicy po spienionych falach rzeki.

Ani Henryk ani Cezaryna nie mieli jeszcze czasu do rozpoznania ich okropnego położenia. Zadaniem Henryka było przedewszystkiem zachowanie równowagi na krze, umieścił więc swoją towarzyszkę na jednym jej końcu, a sam stanął na drugim.

Nie wiedział on nawet, kogo od śmierci ocalił. To jest właściwie nie ocalił, bo czy prędzej czy później czekał nieszczęśliwą tę kobietę okropny koniec. I jego naturalnie również.

Głęboka ciemność otaczała ich, i nic nie było można słyszeć jak szum wody i wycie wichru. Światła miejskie znikły już oddawna, niebo było zachmurzone, ani jedna na niem nie błyszczała gwiazda.

Kra minęła szczęśliwie skręt i wypłynęła na środek rzeki, która się odtąd coraz to szerszą stawała. Jedyną nadzieją Henryka było to, że cudownym jakim sposobem dobiją do brzegu.

Ale gdy chmury się na chwilę rozsunęły i księżyc bladem światłem fale oświecił, spostrzegł Henryk, że kra płynie samym środkiem rzeki, daleko od brzegów, i że nie ma nadziei ratunku.

Cezaryna, nie zważając na nic, przyczołgała się do niego i teraz dopiero poznał ją!

— Ah, to pani! — zawołał niezmiernie zdziwiony.

— Tak, ja! Mnie ocaliłeś, Henryku! O dzięki ci, dzięki za ten odważny i szlachetny czyn!

— Nie mogę przyjąć tego podziękowania, — odrzekł Henryk chłodno. — Nie tylko bowiem, że nie ocaliłem cię od śmierci, ale nadto przedłużyłem twoje męczarnie.

— Jakto?

— Patrz pani — płyniemy środkiem Dunaju na kawale lodu, a wir może nas każdej chwili porwać w głębinę. Zresztą kra, na której stoimy, zmniejsza się coraz to bardziej. Przygotuj się pani na śmierć — ratunku dla nas nie ma!

Słysząc te słowa, zerwała się Cezaryna i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Henryku! — zawołała, przyciskając głowę do jego piersi, — nie miałam cię w życiu, niechże cię mam chociaż w śmierci! I to jest szczęściem dla mnie! Ach umrzemy razem!

Hrabia spojrzał z pogardą na piękną kobietę i odsunął ją od siebie.

— Tak to mówi ta sama Cezaryna, — rzekł szyderczo, która przed kilku tygodniami okazała mi tyle obojętności, gdy ją z rozpaczą prosiłem o pomoc? Mała ofiara z twej strony byłaby mnie wówczas tak uszczęśliwiła, a jednak odmówiłaś mi jej!

Cezaryna załamała ręce.

— Prawda, prawda, — szepnęła z żalem. — Odmówiłam ci dowodu mej miłości, ale byłam chyba obłąkana. Ten łotr Bondi zmusił mnie do tego! Wybacz mi Henryku! Powiedz mi teraz, w obliczu śmierci, że mnie kochasz, a ja błogosławić będę tę chwilę, w której razem umrzemy!

— Za późno, Cezaryno ,za późno! Jesteśmy i w życiu i w śmierci rozłączeni. Poznałem cię dostatecznie, wiem, że nie masz serca, i jestem wdzięczny przeznaczeniu, że mi zawczasu odkryto twój prawdziwy charakter. Znalazłem zresztą młodą dziewczynę, istnego anioła, i pokochałem ją z całego serca, pomimo, że to tylko dziecię ludu. Ale Bóg dał jej niezwykły talent! Moja Teresa sławną kiedyś będzie artystką!

Cezaryna odwróciła się i milczała.

A kra pędziła dalej i wicher z każdą wzmagał się chwilą.

Księżyc skrył się znowu za chmury i ciemność na nowo ogarnęła nieszczęśliwych. Od czasu do czasu wołał Henryk o ratunek, ale któż go mógł w nocy słyszeć, a chociażby i kto słyszał, to jakże ratować w takiej ciemności i przy tak szalonym pędzie kry!

Nareszcie zajaśniało na wschodzie — dzień się rozpoczynał.

Ach, ta noc wydawała się Henrykowi wiecznością!

Teraz, skoro zejdzie słońce, będzie mógł przynajmniej poznać, gdzie się właściwie znajdują, i pomyśleć o ocaleniu.

Ani on, ani Cezaryna jednego nie wymówili słowa. Piękna dziewczyna siedziała skulona na środku kry i płakała, Henryk zaś stał zapatrzony w wodę. Tak minęło im kilka godzin.

Z brzaskiem dnia zrobił Henryk okropne odkrycie. Woda rozmiękczyła lud, tak, że kra znacznie się zmniejszyła i każdej chwili można się było spodziewać, że roztaje zupełnie. A znikąd ratunku, nie było nikogo, ktoby im mógł rzucić linę lub pospieszyć z czołnem na pomoc. Cała okolica była tu jak wymarłą — gęste lasy ciągnęły się wzdłuż obydwóch brzegów rzeki, po za niemi widniały śniegiem pokryte góry.

Dokąd ich ta szalona podróż zaniosła, gdzie się znajdowali? Sądząc po błyskawicznej szybkości, z jaką płynęli, musieli przebyć wiele, wiele mil! Dunaj był tu tak szeroki, że brzegów jego ledwie można było dojrzeć. Ach, teraz.....

Henryk krzyknął przerażony. O pięćset mniej więcej kroków od miejsca, w którem się znajdowali, ukazały mu się skały, okropne, ciemne. Przez nizkie i wązkie wyłomy torował tu sobie Dunaj dalszą drogę i znikał w głębi skał.

— Porta Hungarica! — zawołał. — jesteśmy zgubieni, Cezaryno, jeżeli wpadniemy w tę piekielną przepaść. Bo zanim wypłyniemy po drugiej stronie, będziemy zmiażdżeni na pył!

Kra zbliżała się coraz to więcej do skał, wir porwał ją i obracał w koło z niezmierną szybkością — jeszcze kilka minut, a wszystko się skończy.

— Zmów pani pacierz, — rzekł Henryk, — i poleć duszę Bogu.

Ale w tejże chwili rzucił się na kolana i położywszy się na lodzie, wyciągnął ręce, a w serce jego nowa wstąpiła nadzieja i otucha. Tuż przy krze ujrzał nagle kawał drzewa, stare wiosło, i to stało się rzeczywiście jego ratunkiem. Po okropnem wysileniu zdołał je nareszcie uchwycić.

Wiosło było stare wprawdzie, ale mocne i długie. Kra przestała się obracać i płynęła z równą szybkością dalej, Henryk jednak zebrał wszystkie swoje siły i potrafił ją zwolna do brzegu zwrócić. Była to nadludzka prawie robota, niebezpieczeństwo jednak dodaje sił i odwagi.

— Jeszcze trochę wytrwałości, — rzekł, oddychając ciężko, — a może będziemy ocaleni!

— Co mi po życiu bez ciebie! — odpowiedziała Cezaryna.

Kra zbliżała się zwolna, ale ciągle do brzegu. Pot lał się z czoła Henryka, żyły na rękach nabrzmiały od wysilenia, on jednak na nic nie zważał.

— Jeszcze dziesięć minut, — mówił — jeszcze ośm, pięć — ah, teraz, najgorsze minęło!

Cezaryna patrzała na wszystko milcząca i obojętna. Może być, że strach i zimno odebrały jej przytomność, tak bowiem, jak ją Henryk z wody wyciągnął, tak dotychczas siedziała na krze w mokrych sukniach, bez okrycia.

Henryk szczęśliwie dobijał do brzegu.

— Ja najpierw wyskoczę, — rzekł, — a potem podaj mi pani wiosło. Trzymaj je silnie — w ten sposób zbliży się nasza łódź zupełnie do lądu, i będziesz pani mogła wygodnie zejść z niej.

(Ciąg dalszy nastąpi).





(Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

9) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Coś ty uczynił, Feliksie? — zawołała teraz Elżbieta przerażona. — Tu płynęła krew!

— Naturalnie, jak możesz o tem wątpić, — odrzekł Feliks groźnie. — Przeklinam tylko moją rękę, która w ostatniej chwili zadrżała! Umiem strzelać, jak nikt inny, a dziś — po raz pierwszy chybiłem celu! Nędznik, który ciebie obraził, nie odpokutował za to śmiercią!

— Ach, a ja się tak cieszę, że nie zabiłeś go. Dzięki Bogu!

I Elżbieta zwróciła się ku rannemu.

— Nie chodź do niego, — krzyknął Feliks dziko, — nie dotykaj go! Pójdź ze mną, jeżeli mnie kochasz! Albo czy może wolisz hrabiego Zorndorfa?

— Nie, ty wiesz, że tylko ciebie jednego kocham, — szepnęła Elżbieta.

— Dobrze, że mi to powiedziałaś! Rewolwer mój ma jeszcze dwie kule — jedna byłaby dla ciebie, druga dla mnie! Bylibyśmy przynajmniej razem umarli!

Elżbieta ujęła teraz jego rękę i oboje wracali do domu, zostawiając rannego pod opieką Tritoniego!

Możesz sobie wyobrazić, co się ze mną działo!

Nie namyślając się długo, obeszłam w około klomby i stanęłam na ścieżce tak, że musieli mnie spotkać. I gdy mnie spostrzegli, przerazili się niezmiernie. Elżbieta chciała uciekać, ale Feliks zatrzymał ją i rzekł śmiało:

— Dobrze, że tajemnica nasza odkryta! Wiedz matko droga, że my się kochamy, i że przysięgliśmy sobie wieczną miłość i wierność! Wiemy, że tak prędko nie będziemy się mogli połączyć, że muszę zdobyć najpierw stanowisko w świecie, ale Elżbieta przyrzekła, że zaczeka na mnie i ona słowa nie złamie!

Postanowiłam uważać to za żart i rozśmiałam się głośno.

Ale Feliks zbladł jak trup.

— Powiedz matce, — że kochasz mnie, — zawołał rozkazująco, — powiedz, że nigdy żoną innego nie zostaniesz!

Elżbieta przybiegła do mnie, rzuciła mi się na szyję i szepnęła:

— Tak, mamo, ja kocham go nad wszystko w świecie!

Oporem nie chciałam ich rozdrażniać, powiedziałam atem, że chwilowo mowy o tem być nie może, że muszą czekać, i że wszystko od ciebie zależy. Wymogłam nawet na Feliksie przyrzeczenie, że odtąd Elżbiecie o miłości mówić nie będzie dopóty, dopóki my na to nie pozwolimy!

— I dał ci słowo? — zawołał Maksymilian.

— Dał!

— Więc go też dotrzyma, możemy mu pod tym względem zupełnie zaufać!

— Tak, ale ja nie mam teraz spokojnej chwili! Elżbieta nie może zostać żoną Feliksa! On się wogóle nie powinien żenić, aby nieszczęśliwa krew jego ojca wyginęła do szczętu!

— Tak jest! Żal mi go serdecznie, zięciem naszym jednak być nie może! Syn takiego zbrodniarza — nigdy!

— A on o niczem nie wie! Nie przeczuwa, z jakiem piętnem przyszedł na świat — wie tylko tyle, że matka jego była moją najlepszą przyjaciółką! Gdy raz pytał mnie o ojca, powiedziałam mu, że poległ na wojnie!

— Będzie to okropna chwila dla niego, w której się dowie, kto jest ojcem jego!

Czy myślisz, że trzeba mu to powiedzieć?

— Tak, wtenczas, gdy powtórzy swoją prośbę o rękę Elżuni. Przecież trzeba mu powiedzieć, dlaczego na związek ten przystać nie możemy!

W tejże chwili przyniósł lokaj list na srebrnej tacy i podał go Józefinie.

— Odpowiedź cesarzowej, — zawołała uradowana i rozciąwszy kopertę, następujące przeczytała słowa:

„Moja droga baronowo!

„Z odpowiedzią umyślnie czekałam dłużej — wypełnienie bowiem prośby twojej nie jest tak łatwem, jak się zdaje! Że z zasady na wszystko się zgadzam, o tem nie potrzebujesz naturalnie wątpić.

Ale tym razem chodzi o waszą jedynaczkę, o śliczną i młodziutką Elżbietę. Chcesz, abym ją przyjęła jako damę dworską! Ja sama cieszę się bardzo na to, bo chociaż nie znam waszej Elżbiety osobiście, to słyszałam jednak, że ma być bardzo ładną i dobrą dziewczyną. Czy życie dworskie jednak, pełne intryg, jest dla niej odpowiedniem? Czy nie za wiele pokus czyha tu na taką niewinną, niedoświadczoną istotę?

Dziwisz się może, że tak otwarcie o tem mówię, ale ponieważ sama doświadczyłam ujemnych stron życia na dworze, ponieważ jestem nieszczęśliwą matką, przeto uważam sobie za obowiązek ostrzeżenia cię! Zdaje mi się jednak że i ciebie zmuszają ważne powody do tej prośby, dlatego przyjmę córkę twoją z otwartemi ramionami. Baronówna Elżbieta Kronau jest od dziś moją dworską damą!

Za tydzień wybieram się na Korfu, chciałabym więc zabrać Elżbietę z sobą. Wyślij ją zaraz i telegrafuj, aby ochmistrzyni pojechała po nią na dworzec. O wyprawę nie potrzebujesz się troszczyć, kochana baronowo. Elbieta jest moją córką chrzestną, a zatem ja sama o wszystko się wystaram.

Co się dzieje z synem mej nieszczęśliwej Felicyi? Spodziewam się, że pod każdym względem przypomina on matkę! Pragnęłabym chętnie uczynić też cośkolwiek dla niego i zapewnić mu przyszłość. Najlepiej byłoby, gdyby wstąpił u nas do wojska. Może mi Elżbieta przywiezie jego fotografią. Opowiadano mi, że matka twoja umarła, czy to prawda? Szczęśliwa kobieta! Ostatnie swe lata przepędziła u ciebie i umarła spokojna — ja przeżyłam mego syna. — — —"

— Tyle pisze cesarzowa, — rzekła teraz Józefina, wzruszona wspomnieniem matki. — Reszta listu, zakończenie!

Trzeba Elżunię czemprędzej wysłać.....

I na myśl rozłączenia się z córką, stanęły łzy w oczach.

— Nie płacz, Józefino, — prosił Maksymilian, — wobec tego, jak rzeczy stoją, nie można postąpić inaczej.

— Masz słuszność! Ale kto odwiezie Elżunię? Ja nie chciałabym jechać do Wiednia! Tyle tam doznałam złego!

— Ja także nie mogę! Nie otrzymałbym nawet tak prędko urlopu, a teraz właśnie tyle ważnych spraw...

— Więc ja ją odwiozę, ,— odezwał się w tejże chwili wesoły głos za oknem, i zaraz potem stanął na progu — Tritoni!

— Słyszałem przypadkiem ostatnie wasze słowa, — zawołał, ocierając spocone czoło. — Ja chętnie z nią pojadę!

Tritoni był teraz już starcem blizko siedmdziesięcioletnim, ale żwawym jeszcze i czerstwym, i wyglądał tak, jak gdyby miał najwyżej lat sześćdziesiąt!

— Nie możemy przyjąć tej ofiary — zaczęła Józefina — w pana wieku taka daleka podróż......

— Właśnie, że jestem stary, chcę jechać i ucałować po raz ostatni w życiu ręce cesarzowej Elżbiety — zawołał Tritoni z zapałem. — Jedziemy jutro i basta!

— Kto jedzie jutro? — dał się słyszeć nagle dźwięczny głos dziewczęcy, i Elżbieta, piękna, świeża, jak poranek majowy, wbiegła do salonu.

Była to rzeczywiście śliczna dziewczyna, zupełnie podobna do matki.

— Kto jedzie? — powtórzyła niecierpliwie.

— Ty, moje dziecko — odrzekł Maksymilian poważnie.

— Ja? Dokąd? — szepnęła drżącym głosem.

— Radziliśmy tu nad twoją przyszłością i postanowiliśmy wysłać cię na dłuższy czas z domu.....

— Ach!

I oczy Elżbiety zwróciły się na otwarte drzwi, jak gdyby tam kogo szukały.

— Mamy jedynie twoje szczęście na celu, i dla tego pojedziesz jutro na dwa lata do Wiednia, jako dworska dama cesarzowej Elżbiety!

Przez chwilę głębokie w salonie panowało milczenie — potem ukryła Elżbieta twarz w rękach i nagle głośnym wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz, moje dziecko — mówiła Józefina, gładząc czule ciemną jej główkę, i mnie serce się kraje na myśl rozłączenia się z tobą, ale tak być musi! Chodzi tu o twoje szczęście!

— Mojem szczęściem jest być — u was — szepnęła Elżbieta, łkając głośno. — Ach, proszę, błagam was nie posyłajcie mnie do Wiednia!

— Dwa lata, to nie wieczność! Zobaczysz naszą kochaną cesarzową, pojedziesz z nią zaraz na Korfu, poznasz życie dworskie, będziesz miała zaszczyt służenia cesarzowej.

— Ach, widzieć cesarzową — zawołała Elżbieta — to zawsze było najgorętszem mojem życzeniem, ale nie w taki sposób! Ja się boję być samą na tym wielkim dworze — pomiędzy obcymi ludźmi!

— Cesarzowa zajmie się tobą, ona ci zastąpi rodziców. Powierzam cię jej opiece z całą ufnością, bo takiej drugiej kobiety jak ona, nie ma na świecie! Byłaś nam zawsze posłuszną córką, to i teraz wypełnisz naszą wolę.

— Pojadę — szepnęło dziewczę zalewając się łzami.

— Więc jutro! Doktor Tritoni odwiezie cię!

— Jutro już! O Boże!

— Tak jest! O siódmej rano! Zatelegrafuję natychmiast do dyrekcyi kolei, aby przygotowano dla was cały wagon pierwszej klasy.

— Już jutro! — szeptała Elżbieta.

— Tak, opuścisz po raz pierwszy dom rodzicielski — rzekła Józefina ze łzami w oczach.

— Nie! Ona nie pojedzie do Wiednia! — zawołał w tejże chwili Feliks. — Ja tego nie chcę, i Elżbieta zostanie w domu!

ROZDZIAŁ CXXVII.

Z pokolenia Kaina.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na Feliksa.

Twarz jego była bladą z gniewu, a oczy przypominały zupełnie wyrazem i kolorem, oczy ojca!

Wysoki, szczupły, zręczny, był Feliks ładnym chłopakiem — szpecił go tylko trochę wyraz uporu i hardości.

— Elżbieta nie pojedzie, — zaczął znowu zuchwale — ja na to nie pozwolę!

— Zdaje mi się, — odrzekł Maksymilian spokojnie, — że o twoje pozwolenie nikt jeszcze nie pytał. Ja chcę, aby Elżbieta pojechała i tak też będzie, że zaś do jutra rana dużo ma jeszcze zajęcia z pakowaniem rzeczy, przeto może być, że nie zobaczycie się więcej. Dlatego pożegnajcie się zaraz tutaj.

Feliks zatoczył się, jak pijany.

— A ty, Elżbieto, — rzekł ochrypłym głosem, — zgadzasz się na ten nagły wyjazd? Chcesz mnie opuścić?

— Muszę wypełnić rozkaz rodziców, — brzmiała cicha odpowiedź dziewczęcia.

— O mnie więc nie myślisz! — krzyknął Feliks dziko. — Dobrze! Powiem teraz to, o czem matka już wie! Tym sposobem zmuszę ojca do zatrzymania cię w domu! Kocham cię, i ty kochasz mnie, Elżbieto! Nie odjeżdżaj! Czy zapomniałaś twoich przysiąg wiernej miłości aż do śmierci?

I uniesiony rozpaczą rzucił się na kolana z błagalnie wyciągniętemi rękami.

Elżbieta drżała jak we febrze.

— Milczysz! — wołał Feliks, — nic mi już nie masz do powiedzenia! Podaj mi chociaż rękę na pożegnanie — tę rękę, którą mi przyrzekłaś na całe życie!

— Dziś cię jeszcze nie pożegnam, — rzekła teraz Elżbieta, — ale powiem ci wobec moich rodziców, że kocham cię, i że nigdy nie zostanę żoną innego!

— Słyszałeś ojcze! Ona mnie kocha! Słyszałaś matko? Elżbieta mi wierną będzie! Jedź do Wiednia, jestem teraz zupełnie już spokojny! Chociażby nas świat cały dzielił, to ty jednak będziesz moją!

— Zanim zażądasz raz jeszcze przyrzeczenia miłości od Elżbiety, — odezwał się Maksymilian surowo, musisz posłuchać to, co ci mam do oznajmienia. Pódjdź natychmiast ze mną do mego pokoju!

— Idę już mój ojcze, — rzekł Feliks pokornie.

Myślał on, że usłyszy małe kazanie co do swego niestósownego zachowania się, i układał sobie już naprzód odpowiedzi na wszelkie możliwe zarzuty.

Będąc pewnym miłości Elżbiety, niedbał o nic na świecie. Wiedział, że nie ma wielkiego majątku, ale znał bezinteresowność Maksymiliana i był przekonanym, że brak pieniędzy nie byłby żadną przeszkodą w pozyskaniu ręki jego córki. Wszakże ona posiadała miliony lady Corrigan!

Gdy teraz weszli obydwaj do pracowni generała, urządzonej z wyszukanym przepychem, zamknął Maksymilian starannie drzwi i przechadzając się po pokoju, rzekł:

— Wiesz Feliksie, że tak ja, jak i moja żona uważaliśmy cię zawsze za naszego własnego syna! Wychowaliśmy cię tak samo, jak Felicyą i nie daliśmy ci nigdy uczuć, że w żyłach twoich płynie krew obcego nam człowieka.... — którego z dumą zowie ojcem moim, — zawołał Feliks. — On poległ na polu walki....

— O tem później, — przerwał Maksymilian. — Przedewszystkiem muszę ci opowiedzieć historyą twego urodzenia — chociaż cię to martwi, niestety!

Feliks milczał, ale spojrzenie jego zdawało się przenikać myśli generała.

— Musisz się wyrzec Elżbiety, — rzekł Maksymilian drżącym nieco głosem.

— Wyrzec Elżbiety! — powtórzył Feliks bez uniesienia, — ależ to niemożliwe! Ona sama nie zgodzi się na to! Żądaj ojcze, abym sobie życie odebrał — ale nie żądaj, abym się Elżbiety wyrzekł!

— Ale ty jej nie możesz uszczęśliwić! Nie możesz jej dać nazwiska — uczciwego. —

— Co! — krzyknął Feliks i zerwał się jak szalony, — moje nazwisko — jest shańbione? O, na Boga — nikt inny nie powiedziałby mi tego bezkarnie!

— A gdyby ci kto inny dowiódł, że mówi prawdę?

— To nie może być!

— A jednak — tak jest!

— Więc powiedz mi prawdę, ojcze, całą prawdę, — szepnął Feliks bezdźwięcznym głosem.

— Ale to gorżkie — okropne.

— Jestem mężczyzną, pomimo, że mam dopiero lat ośmnaście, i zniosę wszystko odważnie!

— A zatem słuchaj: matką twoją była hrabianka Felicya Szalenburg, jedna z z najzacniejszych kobiet na świecie, ale ojcem twoim jest zbrodniarz, morderca — złoczyńca, ścigany wszędzie przez policyą!

Feliks milczał — po chwili podniósł ręce i zemdlony upadł na ziemię.

Maksymilian zaczął go trzeźwić.

— Synu mój, — wołał drżącym głosem, — nie poddawaj się tak smutkowi, przysięgam ci,że my wszyscy nie będziemy cię mniej dlatego kochać! Przeciwnie, więcej jeszcze, abyś zapomniał to, co teraz cierpisz! W każdej rodzinie jest coś, o czem się milczy — i gdybym nie był zmuszonym powiedzieć ci prawdę, nie byłbym nigdy tego uczynił! Jako człowiek honoru nie będziesz się już starał o rękę Elżbiety — wiem, że ci to bardzo ciężko — ale musisz jej się wyrzec! Będąc tobą, nie ożeniłbym się nigdy — bo najpierw miałbyś obowiązek wyznania prawdy twej żonie i jej rodzicom, a powtóre — nie dobrze rozkrzewiać krwi mordercy. Nie mogę ci jednak pod tym względem dawać przepisów. Bądź mężnym, Feliksie, znieś z podniesionem czołem ten cios okropny! Dałbym ci Elżbietę, gdybyś był biednym, ale synowi Pedro de Branco dać córki nie mogę!

— Więc czemu — czemu, — krzyknął Feliks rzucając się jak obłąkany, — czemu nie daliście mi umrzeć? Czemu zostawiliście mnie długie lata w mniemaniu, że jestem synem uczciwych rodziców? Czemuście mnie nie zabili? Ach, byłoby to z waszej strony większem miłosierdziem, niż wychować mnie jak własne dziecko, a potem powiedzieć: idź w błoto, z którego pochodzisz!

— Jesteś niesprawiedliwym! Opowiem ci teraz wszystko dokładnie!

I Maksymilian opowiedział mu wiernie całą historyą Felicyi, od dnia jej zaręczyn z Pedrem, aż do ostatniej chwili życia na stepach Sybiru.

— ale zbyt wygórowana delikatność nie pozwoliła jej na to! Teraz wiesz wszystko! Nie potrzebuję ci dodawać, że miejsce dla ciebie jest w naszym domu, że jesteś naszym drogim synem, jak byłeś dotąd. Możesz pożegnać Elżbietę bez świadków, ale żądam od ciebie słowa, że o miłości pomiędzy wami mowy już nie będzie! Wolno ci ją kochać jak siostrę, inaczej — nie! Przyrzekasz mi to?

Feliks zawahał się.

W końcu jednak spojrzał otwarcie na generała i podał mu rękę.

— Przyrzekam — rzekł stanowczo.

— Dziękuję ci. I wybaczasz mi, że ci odkryłem prawdę?

— Zapewne! Ja nie mam zresztą nic do wybaczenia, przeciwnie — wy musicie mi przebaczyć, że nadużywałem tak długo waszej gościnności, że ja, syn mordercy, znieważyłem wasz dom moją obecnością, że — ach! Wszakże ja nie wiedziałem, kim jestem!

Feliks mówił to wszystko spokojnie, tylko oczy jego pałały jakimś nienaturalnym blaskiem.

— Jak możesz coś podobnego mówić — zawołał Maksymilian — czy nie wiesz, jaką mi tem przykrość sprawiasz? Dla nas nie jesteś synem Pedra de Branco, tylko naszym własnym.

Feliks nie słuchał już dalej.

Wybiegł, jak szalony z pokoju i zniknął pomiędzy drzewami parku.

Maksymiljan zaś wrócił do salonu smutny i zamyślony.

— No i cóż? — zapytał Tritoni.

— Powiedziałem mu wszystko! Zrozumiał, że nie możemy dać mu Elzuni!

— Bardzo wątpię! Kocha on ją teraz więcej, niż kiedykolwiek i ma zawsze jeszcze nadzieję zdobycia jej sobie.

— Nie może być!

— Zobaczymy.

— Biedny Feliks — szepnęła Józefina smutnie — ale biedna Elżunia!

Wiedziała ona z doświadczenia, co to znaczy wyrzec się swej miłości!

ROZDZIAŁ CXXVIII.

Pożegnanie.

Feliks wybiegł do parku i pędził naprzód, jak gdyby go furje ścigały.

Zdawało mu się ciągle, że słyszy głos jakiś za sobą:

— Uciekaj, uciekaj, synu Pedra de Branco, synu mordercy!

Potem, na łące, tam gdzie się pojedynkował z hrabią Zorndorfem, tam upadł na miękką trawę i zaczął głośno płakać. Ach, te łzy gorące ulżyły mu niezmiernie. Czuł się znacznie swobodniejszym i mógł przynajmniej spokojniej pomyśleć o przyszłości.

I nagle uczuł straszną nienawiść dla swego ojca.

Ah, gdyby Pedro de Branco żył jeszcze, jakżeby mu dał poznać swoją pogardę! Tego, czy ojciec jego żył, nikt mu nie powiedział — a więc dawno już pewnie umarł.

Potem znowu starał się uniewinnić ojca — i wytłumaczyć wszystko złe, co popełnił, jego wielką miłością dla żony.

I tak zajęty swemi myślami, usnął.

Jak długo spał, nie wiedział, ale zbudził go słodki głos ... Elżbiety!

— Szukam cię od dawna, — rzekło dziwczę, rumieniąc się, jak różyczka, — a ty leżysz tu i śpisz!

Feliks przetarł oczy, zaczerwienione jeszcze od łez i spojrzał z rozpaczą na piękną twarzyczkę ukochanej.

— Nie możesz być moją, — szepnął, — i musiałem przyrzec twemu ojcu, że się ciebie wyrzeknę! Przyrzeczenia tego muszę dotrzymać, ale nie zniosę, abyś została żoną innego. Wolałbym zabić ciebie i siebie!

— I ja tego saamego jestem zdania! Musimy się tu jednak pożegnać, najdroższy, potem już nie będziemy mieli sposobności. Pójdź, daj mi rękę...

— Nie dotykaj mnie! Ja jestem synem mordercy, ty zaś aniołem! Ale pomimo to nie zdołasz zetrzeć z mego czoła piętna Kaina.

— Wiem wszystko, mama opowiadała mi całą historyę twoich rodziców. I dlatego przyszłam tu, aby ci powiedzieć, że ludzie mogą mówić co chcą, ale ja zostanę ci wierną! Syn nie może pokutować za grzechy ojca! I duchem jestem i będę na miłość twoją.

Z okrzykiem szczęścia rzucił się Feliks na kolana i przycisnął do ust rąbek jej sukni.

— Wstań, — rzekła Elżbieta z uśmiechem. — Idźmy pod nasz ulubiony wielki dąb, i rozmówmy się co do naszej przyszłości.

— Ach, ja żadnej nie mam nadzieji, — westchnął Feliks.

— Ja zaś nie wątpię, że zdołam rodziców przekonać o...

— Nigdy! Twój ojciec nigdy na nasz związek nie pozwoli!

Elżbieta usiadła obok Feliksa, i oparłszy głowę na jego ramieniu, gorzko płakać zaczęła.

— Ja o tobie póki życia nie zapomnę, — mówiła urywanym głosem, — aż do ostatniej chwili kochać cię będę. Na pamiątkę tej godziny weź ten pierścionek, Feliksie. Twoja matka miała go na palcu aż do śmierci — a że dla ciebie był za mały, i ja miałam mieć jakąś po twej matce pamiątkę, przeto mama mnie go dała! Szmaragdy przynoszą szczęście! A teraz bądź zdrów najdroższy, muszę wracać do domu.

Feliks, pomny przyrzeczenia, nie zatrzymywał jej.

— Pamiętaj o mnie, — szepnęła jeszcze Elżbieta i po chwili znikła w cieniu drzew.

— Teraz jestem sam, zupełnie sam, — pomyślał Feliks. — Ale pierścionek jej będzie odtąd największym moim skarbem! Aż do ostatniego tchnienia nie zdejmę go z palca.

Do domu generała nie chciał Feliks już wracać. Ale wiedząc, że Elżbieta jedzie do Wiednia, postanowił się także udać tam, aby chociaż zdaleka patrzeć czasem na nią i oddychać tem samem, co ona powietrzem!

Zaczekał więc aż do nadejścia nocy, a potem, cicho, ostrożnie, przeszedł ogród i wsunął się niepostrzeżenie bocznemi drzwiami do pałacu. Wszedłszy do swego pokoju, zapakował to, co było najpotrzebniejszego w ręczny kuferek, nie zapominając o podarunkach Józefiny, szczególnie sercu jego drogich, a mianowicie złotym zegarku, w srebro okutym rewolwerze, i książce otrzymanej od Tritoniego z napisem:

„Synowi nieodżałowanej Felicyi Szalenburg ofiaruje stary przyjaciel jego — Tritoni.“

Pieniędzy nie wiele miał przy sobie, bo chociaż generał nie skąpił mu kieszonkowego, to jednak pod koniec miesiąca wypróżniała się kieszeń.

Feliks mógł był łatwo postarać się o pieniądze na drogę — potrzebował tylko iść do wsi do żyda Arona, a byłby dostał tyle, ile by chciał. Ale wolał wyjść z domu swych przybranych rodziców bez pieniędzy, niż pożyczać na rachunek swego dobroczyńcy.

— Zamiast jechać pierwszą klasą do Wiednia, — pomyślał, — pójdę pieszo. Zwiedzę tym sposobem lepiej obydwa kraje!

Przedewszystkiem jednak postanowił podziękować generałowi za jego dobroć i w tym celu szybko następujące napisał słowa:

„Kochani rodzice!

„Wybaczcie, że was opuszczam bez waszej wiedzy, bez waszego pozwolenia, wybaczcie, że odchodzę potajemnie! Ale ja nie mogę zostać dłużej u was od chwili, w której wiem, kto był mój ojciec. Idę w świat, i da Bóg, może dowiodę wam kiedyś, że ten, w którego żyłach płynie krew mordercy, może zdobyć sobie szacunek ludzi! Wtedy wrócę do was i razem z Elżbietą uproszę wasze błogosławieństwo! Bo nie zapomnę nigdy Elżbiety i kochać ją będę do ostatniej chwili mego życia!

Całuję stokrotnie wasze ręce i pozostaję na zawsze waszym wdzięcznym synem.

Feliks.“

Gorące łzy spływały po twarzy młodzieńca, gdy opuszczał pałac.

Szedł w świat nieznany, daleki — bez przyjaciół, bez pieniędzy, nie wiedząc, co mu następna godzina przyniesie może, i gdzie zmęczoną głowę do snu położy, ale w duszy miał odwagę i ufność w Bogu, że go nie opuści. Pierścionek Elżbiety wsunął na palec, aby się z nim nigdy nie rozłączać.

(Ciąg dalszy nastąpi).



POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENE BAZIN.

15) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

O trzy kroki od pana von Kessewitz pan Filip Oberle przystanął, lewą, swobodną ręką sięgnął do kieszeni surduta i podał hrabiemu tabliczkę, na której były napisane dwa wiersze.

Gość nachylił się, natychmiast jednak wyprostował się dumnie.

— Panie!

Ale już pan Józef Oberle pochwycił tabliczkę szyfrową i czytał te wyrazy, napisane dziwnie stanowczo:

— „Jestem tu u siebie, mój panie!"

Oczy starego Alzatczyka dodawały·

— Wychodź z mego domu!

Oczy te, niby szpony, wpiły się w twarz von Kessewitza i nie puszczały swej ofiary.

— Tego już nadto — rzekł pan Józef. — Jakto, schodzisz tu, aby zniważać mych gości!... Wybacz, panie hrabio, ojciec mój jest stary, egzaltowany, trochę przez wiek osłabiony...

— Gdybyś pan był młodszy — rzekł wyniośle pan von Kessewitz, zakończylibyśmy tę sprawę inaczej. I dobrze pan uczynisz, pamiętając o tem, że jesteś tu także i u mnie, w państwie niemieckiem, na ziemi niemieckiej i że lepiej jest, nawet w pańskim wieku, nie obrażać przedstawiciela niemieckiej władzy....

— Mój ojcze! — zawołała pani Oberle, rzucając się ku starcowi, aby go podtrzymać. — Proszę cię, zaszkodzisz sobie... to wrażenie zbyt silne....

Rzeczywiście, oznaki wzruszenia zaczęły się ukazywać na twarzy pana Filipa Oberle. Pod wpływem gwałtownego gniewu, który nim miotał, znalazł siły, aby się zupełnie wyprostować. Wydawał się prawie olbrzymem. Był nieledwie tego samego wzrostu, co i pan hrabia von Kessewitz. Żyły nabrzmiały na skroniach starca, policzki nabiegły krwią, oczy się ożywiły. I jednocześnie całe to ciało napół martwe drżało i wyczerpywało na mimowolne ruchy swe życie sztuczne i słabe.

Dał znak pani Oberle, aby się oddaliła i nie podtrzymywała go dłużej.

Lucyna, blada, wzruszyła ramionami i zbliżyła się do pana von Kessewitz:

— To tylko jeden akt naszych rodzinnych tragedyj, panie prefekcie! Nie zwracaj pan na to uwagi i chodź z nami do fabryki. Pozwól mi przejść, dziadku!

Ten wcale na nią nie zwracał uwagi.

Młoda dziewczyna przeszła z wyzywającą miną między panem Oberle i dygnitarzem niemieckim, który odpowiedział:

Za to co mi tu wyrządzono, nie czynię pani odpowiedzialną... rozumiem położenie, rozumiem.

Głos mu się z trudnością wydobywał z zaciśniętego gardła. Wściekły z gniewu, przewyższający o pół głowy wszystkich zebranych, oprócz pana Filipa Oberle, pan von Kessewitz wykręcił się na obcasie i zbliżył się ku drzwiom.

— Chodź pan, proszę — wyrzekł pan Józef Oberle, usuwając się przed prefektem.

Lucyna już wyszła.

Pani Oberle, zarówno osłabiona wzruszeniem jak i ten starzec, który odrzucił jej pomoc, czując duszące ją łzy, wybiegła do sieni i udała się do swego pokoju, gdzie wybuchnęła łkaniem.

W salonie Jan pozostał sam na sam ze starcem, który wypędził cudzoziemca.

— Dziadku, coś ty uczynił? — rzekł, zbliżając się do pana Filipa.

Chciał jeszcze dodać: „To straszna obraza, ojciec jej nie przebaczy, nasza rodzina będzie całkowicie rozbita."

Byłby to powiedział, ale podniósł oczy ku temu staremu zapaśnikowi, blizkiemu pogromu, a jeszcze podnoszącemu głowę. Zobaczył teraz, że dziadek przygląda mu się bacznie, że gniew jego dosięga najwyższego paroksyzmu, że pierś mu się podnosi, a twarz marszczy i wykrzywia.

I nagle w żółtym salonie głos nadzwyczajny, głos silny, chrapliwy, rzekłbyś zardzewiały, wybuchnął i wołał, jakby w nerwowym pośpiechu:

— Odejdź ztąd! Odejdź! Odejdź! Odejdź!

Głos podniósł się aż do dźwięków ostrych, potem się załamał i z otwartemi jeszcze ustami, starzec zadrżał i upadł na posadzkę. Głos rozległ się aż do najdalszych zakątków domu. Głos ten, którego już nie słyszano oddawna, pani Oberle poznała odrazu; przez otwarte drzwi pokoju doszły ją nawet wyrazy.

Przeciwnie dla pana Józefa Oberle, który zbliżył się już do końca alei, dążąc ku fabryce, był to tylko krzyk wściekłości i bólu z dzikim akcentem słów, których ani pojąć, ani pochwycić było niepodobna. Obrócił się na chwilę tylko, zmarszczył brwi i poszedł dalej ku dozorcom i robotnikom niemieckim, którzy radosnemi okrzykami witali pana von Kessewitza.

Do salonu wbiegła najpierw pani Oberle, następnie Wiktor, później stara Salomea blada, z rękami podniesionemi, wołając:

— Czy to nie głos pana Filipa słyszałam?

Za nimi wsunął się stangret i ogrodnik, obawiający się zbliżyć, a jednak ciekawi tej smutnej sceny. Znaleźli Jana i jego matkę, klęczących przy panu Filipie. Starzec był zupełnie bezwładny i zaledwie oddychał. Wysiłek, wzruszenie, oburzenie wyczerpały siły chorego. Podniesiono go, posadzono w fotelu; wszyscy starali się go przywrócić do życia. Przez kwadrans przynajmniej rozlegały się kroki i biegania między pierwszem piętrem a salonem. Przynoszono ocet, sole, eter.

— Byłem pewny, że pan będzie miał atak — mówił Wiktor — od samego rana bardzo był wzburzony. Ach, otóż porusza trochę oczami.... Ręce ma już mniej zimne.

W głębi parku rozległy się liczne okrzyki:

— Niech żyje prefekt!

Z cichym powiewem wiatru doszły one do salonu, gdzie dotąd nigdy podobne słowa nie rozbrzmiewały. Pan Filip Oberle nie zdawał się ich słyszeć. Jednak po kilku jeszcze minutach dał znak, aby go przeniesiono na górę.

Tymczasem szybkie kroki rozległy się na schodach ganku i z za drzwi jeszcze głos jakiś wołał:

— Co tam takiego? Co znaczą te krzyki?... Ach... mój ojciec!

Wchodzący zmienił głos natychmiast i zwrócił się do żony:

— Myślałem, że to ty, Moniko, miałaś atak nerwowy... Ale w takim razie któż mógł tak krzyczeć?

— On!

— On? — odrzekł pan Oberle. — To niemożliwe!

Nie śmiał jednak powtórzyć zapytania.

Dziadek, podniesiony i podtrzymywany przez Jana i służącego, szedł przez salon, drżący i chwiejny.

— Janie! — prosiła syna pani Oberle — czuwaj nad wszystkiem. Nie opuszczaj swego dziadka! Ja odchodzę do siebie.

Pan Józef zatrzymał się w przejściu. Chciała przedewszystkiem oddalić Jana i zostawszy sama z mężem, nasłuchiwała dochodzącego z klatki schodowej odgłosu kroków, szmeru ubrań i wydawanych poleceń:

— Podnieście go... Zważajcie na zakręt.

— Co on takiego krzyczał? — zapytał przemysłowiec.

— Krzyczał: „Odejdź, odejdź!" Są to wyrazy, które powtarza często, wiesz przecie.

— Jedyne, jakiemi rozporządza dla wyrażenia swej nienawiści... Czy nic więcej nie mówił?

— Nie, zeszłam natychmiast i znalazłam go leżącego na ziemi, a Jana obok...

— Na szczęście, pan von Kessewitz nie był świadkiem tego drugiego aktu. Pierwszy i tak wystarczy. Istotnie, cały dom się sprzysiągł, aby z tej tak zaszczytnej dla nas wizyty stworzyć skandal i powód do obrazy: mój ojciec, Wiktor, który się nie wstydził zostać wspólnikiem tego

starca w malignie, Jan, który się zachowywał impertynencko, ty...

— Nie sądzę, ażebyś mógł się uskarżać na mnie!

— Na ciebie przedewszystkiem! Ty jesteś duszą tego sporu, który ja zwyciężyć muszę! I zwyciężę... ręczę ci za to!

— Mój biedny mężu — odparła pani Monika, składając ręce — więc ciągle jeszcze trwasz w swem postanowieniu!

— Naturalnie.

— Nie będziesz mógł przezwyciężyć wszystkiego, niestety!

— Zobaczymy.

Pani Oberle nic nie odpowiedziała i poszła na pierwsze piętro. Nowy niepokój, silniejszy niż obawa pogróżek męża, dręczył ją niemiłosiernie. — Co chciał powiedzieć mój teść? — zapytywała siebie. — Ten starzec nie jest wcale w malignie... On pamięta wszystko i wszystko przewiduje... czuwa nad domem; myśl jego jest zawsze rozumna... Byleby Jan inaczej go zrozumiał niż ja!...

Na górze spotkała syna, który wychodził z pokoju dziadka.

— I cóż?

— Nic poważnego, zdaje mi się; jest mu lepiej... chce być teraz sam...

— A ty? — zapytała matka strwożona, biorąc syna za rękę i ciągnąc go ku pokojowi, który zajmował. — A ty?

— Jakto ja?

Jan zamknął drzwi.

Matka, stojąc nieruchomo z oczami utkwionemi w oczach ukochanego dziecka, rzekła:

— Zrozumiałeś, nieprawdaż, co chciał powiedzieć dziadek?

— Tak.

Starała się uśmiechnąć; dziwnie przejmującym był wysiłek tej duszy strwożonej.

— Tak. Nieprawdaż? On wołał „Odejdź!“ Są to słowa, które zwraca często do obcych. Tym razem stosował je do pana von Kessewitz... Czyż nie tak?

Jan potrząsnął głową.

— A jednak, mój drogi, do nikogo innego nie mogły być zwrócone...

— Przepraszam, dziadek mówił do mnie!

— Oszalałeś! Jesteście jak najlepszymi przyjaciółmi...

— Właśnie dlatego.

— Przecież nie ciebie chciał wypędzić z salonu!

— Nie.

— A więc?

— On mnie rozkazywał opuścić dom.

— Janku!

— A jednak z jaką radością ten biedny człowiek witał mój powrót.

Jan nie patrzył już na matkę, bo z oczu biednej kobiety trysnęły łzy; zbliżyła się do niego jeszcze więcej i wzięła go za ręce.

— Nie, mój Janku, nie, on nie mógł tak myśleć... Zaręczam ci, że go źle zrozumiałeś.... W każdym razie tybyś tego nie uczynił?.... Powiedz, że nigdy tego nie uczynisz!...

Chwilę czekała na odpowiedź, ale daremnie.

— Janku, przez litość, odpowiedz mi!... Przyrzecz mi, że nas nie opuścisz!... Oh, doprawdy, czemby mi się teraz stał nasz dom bez mego syna?... Mam tylko ciebie na świecie!... Czyż nie widzisz, jak jestem nieszczęśliwa?... O Janku, Janku, spojrzyj na mnie!...

Nie mógł spokojnie patrzeć na jej rozpacz i spojrzał na nią z wielką czułością.

— Kocham cię, mamo, całem sercem — rzekł po chwili.

— Wiem o tem... ale nie porzucaj mnie!

— Żałuję cię bardzo i czczę.

— Nie porzucaj!

Nie otrzymując odpowiedzi, cofnęła się o parę kroków.

—Nie chcesz mi przyrzec! Jesteś okrutny, ty także! Podobny jesteś....

Chciała powiedzieć: „Do twego ojca.“

Jan myślał: „Mogę jej dać parę tygodni spokoju, powinienem to uczynić.“ I rzekł, starając się także uśmiechnąć:

— Przyrzekam ci, mamo, że będę w koszarach Świętego Mikołaja pierwszego października. Przyrzekam ci... Czy jesteś zadowoloną?

Zrobiła znak, że nie. Ale on, nie chcąc już nic więcej powiedzieć, pocałował ją w czoło i odszedł pośpiesznie.

. . . .

Miasteczko Alsheim zajęte było obecnie wypadkami które zaszły w domu państwa Oberle. Wśród upalnego gorąca wieczoru, wśród kurzu zżętej pszenicy i pyłków kwiatowych, rozsianych w powietrzu, ludność wracała z pola, mężczyzni pieszo, dzieci i młodzież — konno; sierść końska połyskiwała złotem, srebrem, lśniącą czarnością, purpurą w odblasku promieni, które rzucało słońce, zachodzące ponad szczytami Wogezów. Na progu domów żony oczekiwały mężów, wybiegały o parę kroków na ich spotkanie, śpiesząc z opowieścią ważnej nowiny: „Nie wiesz, co się stało w fabryce. Długo jeszcze o tem mówić będą! Zdaje się, że stary pan Filip Oberle w gniewie odzyskał głos.“

Niektórzy chłopi mówili: „Pomówimy o tem, żono u siebie, przy zamkniętych drzwiach.“

Inni z niepokojem śledzili wzburzenie sąsiadów i sąsiadek, dodając: „Wszystko to się skończy wizytą żandarmów.“

Na folwarku pana Bastiana kobiety i młode dziewczęta kończyły obrywać chmiel. Gawędziły przytem, śmiejące się lub zadumane, stosownie do wieku.

Właściciel zabronił otwierać bramę, prowadzącą na ulicę miasteczka. Pod maską zewnętrznej wesołości skrywając przezorność, napełniał w dalszym ciągu koszyki dzwonkami chmielu, osypanemi świeżym pyłkiem.

Woły i konie, przechodzące około podwórza wyciągały szyje i wdychały powietrze, przesycone wonią chmielową.

Powoli podnosiły się pomęczone pracownice, strząsały fartuchy, wyciągały młode ramiona, wdychając świeży powiew, dolatujący z pola, i wracały do swoich dalszych lub bliższych mieszkań na kolacyę.

U państwa Oberle nadeszła pora obiadowa. W czasie obiadu, który był możliwie najkrótszy i bardzo niewesoły, niewiele słów zamieniono. Lucyna myślała o nowej przeszkodzie, która stawała na drodze do jej małżeństwa, i o gwałtownym gniewie pana von Kessewitz; Jan o piekle, w jakie się zamienił dom rodzinny; pan Oberle o swoich projektach ambitnych, prawdopodobnie w niwecz obróconych; pani Monika o możliwym wyjeździe syna.

Ku końcowi obiadu, w chwili, kiedy służący się oddalił, pan Oberle odezwał się do żony, jak gdyby w dalszym ciągu prowadził rozpoczętą rozmowę:

— Wiesz, moja droga, że nie mam zwyczaju ustępować przed gwałtownością, która mnie tylko rozdrażnia. Jestem więc zdecydowany na dwie rzeczy: najprzód wybuduję drugi dom, około warsztatów, gdzie będę u siebie, następnie przyspieszę małżeństwo Lucyny z porucznikiem von Farnow. Ani ty, ani mój ojciec, wogóle nikt mi w tem nie przeszkodzi. Napisałem już do pana Farnowa, zawiadamiając go o swem postanowieniu.

Pan Oberle spoglądał kolejno z tym samym wyrazem nieufności na żonę i syna. Dodał jeszcze:

— Trzeba, aby ci młodzi ludzie mogli się widywać i rozmawiać z sobą swobodnie, jak przystało na narzeczonych...

— Oh — przerwała pani Oberle — to jeszcze...

— Są nimi — mówił dalej — z mojej woli i od dziś wieczorem. Nikt i nic w tem nie zmieni. Nie mogę niestety, pozwalać im spotykać się tutaj. Mój ojciec wymyśliłby nowy skandał, albo też które z was — i wskazał na żonę i syna.

—Mylisz się — powiedziała pani Oberle. — Cierpię ogromnie nad tym projektem, ale nie urządzę żadnego skandalu dla zburzenia tego, co postanowiłeś.

— W takim razie — odrzekł pan Oberle — będziesz miała sposobność dowieść tego, co mówisz. Miałem zamiar nie prosić cię o nic i zawieść sam Lucynkę do Strassburga, do jakiejś trzeciej osoby, którąby w swoim salonie pozwoliła spotykać się narzeczonym.

— Nigdy na to nie zasłużyłam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

